

JERZY ŻUŁAWSKI

NA SREBRNYM
GLOBIE

Jerzy Żuławski

Na srebrnym globie

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23553346

Na srebrnym globie: Fundacja Nowoczesna Polska;

Аннотация

Pracownik obserwatorium znajduje tajemniczą kulę, w której odkrywa bezcenny dokument – dziennik prosto z Księżyca. Rękopis został sporządzony przez Polaka, Jana Koreckiego, który jako członek kilkusobowej załogi udał się przed pięćdziesięcioma laty w pierwszą podróż na srebrny glob. Jego relacja okazuje się nie tylko relacją z wyprawy i opisem Księżyca, lecz także przejmującym zapisem problemów, z którymi borykali się pierwsi selenonauci – miłością i śmiercią, samotnością i obsesją, zazdrością i pożądaniem. Na srebrnym globie to pierwsza część Trylogii Księżycowej Jerzego Żuławskiego, wydana w 1903 roku. Doceniana przede wszystkim ze względu na nowatorstwo względem epoki, wartość naukową w opisach księżycowych realiów oraz wnikliwe studium nad rodzącym się kultem religijnym.

Содержание

Rękopisu część pierwsza. Dziennik podróży	20
Конец ознакомительного фрагмента.	99

Jerzy Żuławski

Na srebrnym globie

Pięćdziesiąt lat blisko upłynęło już od owej podwójnej wyprawy, najszańszej zaiste, jaką kiedykolwiek człowiek przedsięwziął i wykonał – i cała rzecz poszła niemal w zapomnienie, gdy pewnego dnia w jednym z dzienników w K... pojawił się podpisany przez asystenta małego miejscowego obserwatorium artykuł przypominający wszystko na nowo. Autor artykułu twierdził, że ma w ręku niewątpliwe wiadomości o losie wystrzelonych przed pięćdziesięciu laty na Księżyc szaleńców. Rzecz narobiła wiele wrzawy, chociaż początkowo nie brano jej zbyt poważnie. Ci, co słyszeli lub czytali o owym nadzwyczajnym przedsięwzięciu, wiedzieli, że śmiali awanturnicy ponieśli śmierć, ruszali więc teraz ramionami na wieść, że ci, od dawna za umarłych uważani, nie tylko żyją, ale przysyłają nawet wiadomości wprost z Księżyca.

Asystent mimo wszystko uparczywie obstawał przy swoim zdaniu i pokazywał ciekawym stożkową, żelazną kulę, czterdzieści centymetrów wysoką, w której miał odnaleźć rękopis na Księżycu sporządzony. Misternie odkręcającą się, wewnątrz próżną kulę, pokrytą grubą warstwą rdzy i żużlu, można było oglądać i podziwiać; rękopisu jednakże asystent nikomu nie chciał pokazać. Twierdził, że są to papiery zwęglone, których treść on dopiero odczytuje za pomocą sztucznych

zdjęć fotograficznych, robionych z wielkim trudem i największą ostrożnością. Ta tajemniczość wzbudzała podejrzenia, zwłaszcza że asystent do tego czasu nie powiedział, jak doszedł do posiadania kuli; ale zaciekawienie wzrastało ciągle. Czekano z pewnym niedowierzaniem przyrzeczonych wyjaśnień, a tymczasem zaczęto sobie przypominać ze współczesnych pism dzieje całej wyprawy.

I nagle zaczęli się ludzie dziwić, że mogli tak prędko zapomnieć... Wszakże w czasie owej wyprawy nie było pisma codziennego, tygodniowego lub miesięcznego, które by przez parę lat z rzędu nie poczuwało się do obowiązku poświęcenia w każdym numerze kilku szpalt temu wypadkowi, tak niesłychanemu i nieprawdopodobnemu. Przed samą wyprawą pełno było wszędzie sprawozdań ze stanu robót przygotowawczych; opisywano niemal każdą śrubę w „wagonie”, który miał przebyć międzyplanetarne przestrzenie i wysadzić śmiałych szaleńców na powierzchnię Księżyca, znaną do tego czasu jedynie ze znakomitych zdjęć fotograficznych, dokonywanych od szeregu lat w „Licke-Observatory” – zajmowano się żywo wszystkimi szczegółami przedsięwzięcia; na naczelnym miejscu umieszczano portrety i życiorysy obszerne podróżników. Wiele wrzawy wywołała wieść o cofnięciu się jednego z nich w ostatniej niemal chwili, bo niespełna na dwa tygodnie przed naznaczonym terminem „odjazdu”. Ci sami, co niedawno jeszcze rzucali gromy na cały „niedorzeczny i awanturniczy” plan wyprawy, a uczestników jej nazywali wprost

półgłówkami, zasługującymi jedynie na dożywotnie zamknięcie w szpitalu, oburzali się teraz na „tchórzostwo i odstępstwo” człowieka, co powiedział otwarcie, że się spodziewa mieć grób na Ziemi również spokojny, a nierównie późniejszy niż jego niedoszli towarzysze na Księżycu. Największe jednak zaciekawienie wywołała osoba nowego śmiałka, zgłaszającego się na opróżnione miejsce. Przypuszczano powszechnie, że go uczestnicy wyprawy nie przyjmą do swego grona, gdyż czas był już za krótki, aby nowy towarzysz mógł odbyć konieczne przedwstępne ćwiczenia, którym tamci przez kilka lat się oddawali, doszedłszy w końcu do niesłychanych wprost wyników. Opowiadano o nich, że nauczyli się znosić w lekkim odzieniu mróz czterdziestostopniowy i czterdziestostopniowe gorąco, obywać się całymi dniami bez wody i oddychać bez szkody dla zdrowia powietrzem bez porównania rzadszym od atmosfery ziemskiej na wysokich górach. Jakież tedy było zdziwienie, gdy się dowiedziano, że nowy ochotnik, przyjęty, dopełnił liczby „lunatyków”, jak ich nazywano. To tylko sprawozdawców pism doprowadzało do rozpacz, że nie mogli się dowiedzieć bliższych szczegółów o tym tajemniczym awanturniku. Mimo natarczywe nalegania nie dopuszczał do siebie reporterów, ba! nawet nie przysłał żadnemu dziennikowi fotografii ani nie odpowiadał na listowne zapytania. Inni członkowie wyprawy zachowywali również ściśle milczenie co do jego osoby. Na dwa dni dopiero przed wyruszeniem wyprawy w drogę pojawiła się wiadomość bliższa, choć nieco fantastyczna.

Jednemu z dziennikarzy udało się po wielu trudach zobaczyć nowego uczestnika przedsięwzięcia i rozpuścił natychmiast wieść, że to ma być kobieta w przebraniu męskim. Nie bardzo wierzono tej pogłosce, a zresztą nie było już czasu zajmować się nią. Stanowcza chwila nadchodziła. Gorączkowe oczekiwanie zamieniło się po prostu w szal. Okolica nad ujściem Kongo, skąd wyprawa miała „wyruszyć w drogę”, zarojła się od ludzi przybyłych ze wszystkich części świata.

Fantastyczny pomysł Juliusza Vernego miał być nareszcie urzeczywistnionym – w sto kilkanaście lat po śmierci swego autora.

Na wybrzeżu Afryki, dwadzieścia kilka kilometrów od ujścia Kongo, zionął otwór obszernej, gotowej już studni z lanej stali, która miała za kilkanaście godzin wystrzelić na Księżyc pierwszy pocisk z zamkniętymi w nim pięcioma śmiałkami. Osobna komisja sprawdziła jeszcze raz w pośpiechu wszystkie zawite obliczenia; zrobiono raz jeszcze przegląd zapasów i narzędzi: wszystko było w porządku, wszystko było gotowe.

Na drugi dzień na krótko przed wschodem słońca potworny huk wybuchu oznajmił światu na paręset kilometrów wokoło, że podróż rozpoczęta...

Według niezmiernie ścisłych i dokładnych obliczeń pocisk miał pod działaniem wybuchowej siły prostopadłego rzutu, przyciągania Ziemi i siły rozprędowej, nabytej przez dzienny obrót Ziemi dookoła osi, zakreślić w przestworzu olbrzymią parabolę z zachodu na wschód i wszedłszy w oznaczonym

punkcie i w oznaczonej godzinie w sferę przyciągania Księżyca, spaść prawie pionowo na środek jego tarczy ku nam zwróconej, w okolicy *Sinus Medii*. Bieg pocisku, obserwowany z różnych punktów Ziemi przez setki teleskopów, okazał się zupełnie prawidłowym. Dla patrzących pocisk zdawał się cofać na niebie w kierunku od wschodu na zachód, zrazu znacznie wolniej niż Słońce, potem coraz szybciej, w miarę jak się od Ziemi oddalał. Ten ruch pozorny był wynikiem obrotu Ziemi, wobec którego pocisk w tyle pozostawał.

Śledzono go długo, aż wreszcie w pobliżu Księżyca już i najsilniejsze teleskopy nie były zdolne go spostrzec. Mimo to łączność między zamkniętymi w pocisku awanturnikami a Ziemią nie ustawała jeszcze przez pewien czas ani na chwilę. Podróżnicy obok mnóstwa innych przyrządów zabrali ze sobą znakomity aparat do telegrafii bez drutu, który według obliczeń powinien był funkcjonować nawet na odległość trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, dzielących Księżyc od Ziemi. Obliczenia atoli zawiodły w tym wypadku; ostatnią depeszę otrzymały stacje astronomiczne z odległości dwustu sześćdziesięciu tysięcy kilometrów. Czy to ze względu na niedostateczną siłę prądu wytwarzającego fale, czy też wadliwą budowę przyrządu, telegrafowanie na większą odległość było niemożliwe. Ale ostatnia depesza brzmiała nader zachęcająco: „Wszystko dobrze, nie ma powodu do obaw”.

W sześć tygodni wysłano według umowy drugą wyprawę. Tym razem znalazło w pocisku pomieszczenie dwóch tylko

ludzi; wieźli za to ze sobą znacznie większe zapasy żywności i potrzebnych narzędzi. Aparat telegraficzny mieli znacznie silniejszy niżli poprzedni; nie było wątpliwości, że wystarczy do przesyłania wiadomości z Księżyca. Atoli z Księżyca depeszy już nie otrzymano. Ostatni telegram wysłali już podróżnicy z pobliza celu wyprawy, przed samym spadkiem na księżycową powierzchnię. Wiadomość była nie najpomyślniejsza. Pocisk z niewytłumaczonej przyczyny zboczył nieco z drogi i wskutek tego widocznym było, że spadnie na Księżyc nie prostopadle, lecz skośnie, pod kątem dość ostrym. Ponieważ pocisk nie był zbudowany dla takiego spadku, więc podróżnicy obawiali się, czy nie poniosą śmierci przez rozbicie. Widocznie obawy się spełniły, gdyż to była ostatnia depesza.

Wobec tego zaniechano zamierzonych wypraw dalszych. Nie można się było łudzić co do losu nieszczęśliwców; po cóż było powiększać jeszcze bezużyteczne ofiary? Żal jakiś i wstyd ogarnął ludzi. Najwięksi zwolennicy „międzyplanetarnej komunikacji” przycichli teraz, a o wyprawach mówiono i pisano już tylko jako o szaleństwie, będącym wprost zbrodnią. W kilka lat wreszcie cała rzecz poszła w zapomnienie na długi przeciąg czasu¹.

Przypomniał ją dopiero, jak się powiedziało, artykuł nieznanego dotąd, a wkrótce głośnego asystenta w pomniejszym obserwatorium astronomicznym. Odtąd każdy tydzień przynosił coś nowego. Asystent odsłaniał powoli rąbki swej tajemnicy,

¹ na długi przeciąg czasu – dziś popr.: na długi czas. [przypis edytorski]

a chociaż niedowiarków nigdy nie brakło, zaczęto zapatrywać się na rzecz coraz poważniej. Sensacyjna wieść rozeszła się wkrótce po całym cywilizowanym świecie. Wreszcie asystent opowiedział, w jaki sposób doszedł do posiadania cennego rękopisu i jak go odczytał, a nawet pozwolił ludziom fachowym oglądać jego zwęglone szczątki wraz z cudownymi istic odbitkami fotograficznymi.

Otóż, jak się rzecz miała z ową kulą i rękopisem:

„Pewnego dnia po południu – opowiadał asystent – gdy siedziałem zajęty notowaniem codziennych spostrzeżeń meteorologicznych, oznajmił mi służący zakładu, że jakiś młody człowiek chce ze mną mówić. Był to mój kolega i dobry przyjaciel, właściciel wioski nieopodal położonej. Widywałem go rzadko, gdyż choć mieszkał niedaleko, nieczęsto się do miasta wybierał. Zatrzymałem go tedy i uporawszy się co prędzej z robotą, wyszedłem do drugiego pokoju, gdzie mnie, jak zauważyłem, niecierpliwie oczekiwał. Zaraz po powitaniu oświadczył, że mi przynosi wiadomość, która mię ucieszy niewątpliwie. Wiedział, że od lat zajmuję się z zapałem badaniem meteorytów, przyszedł mi tedy powiedzieć, że przed kilku dniami spadł w jego wiosce meteor znacznej, jak się zdaje, wielkości. Kamienia nie znaleziono, gdyż upadł w trzęsawisko i prawdopodobnie zagłębił się znacznie, ale jeśli go chcę mieć, on jest gotów dać mi kilku robotników dla jego wydobycia. Kamień naturalnie chciałem mieć i uwolniwszy się na parę dni z obserwatorium, pojechałem sam na miejsce w

celu poszukiwań. Ale mimo niewątpliwych znaków i usilnej pracy nie mogliśmy nic znaleźć. Wydobyto tylko duży kawał obrobionego żelaziwa kształtu kuli armatniej, której obecność w tym miejscu mocno mnie zadziwiła. Zważyłem już o pomyślnym wyniku poszukiwań i wydałem właśnie polecenie zaprzestania dalszych robót, gdy przyjaciel zwrócił moją uwagę na ową kulę. Istotnie wyglądała zastanawiająco. Powierzchnia jej była pokryta żużlem, jaki się tworzy na żelaznych meteorytach przy rozżarzaniu się ich podczas przejścia przez atmosferę ziemską. Czyżby to ona miała być owym spadłym meteorem?

W tej chwili – nagle – błysnęła mi pierwsza myśl. Przypomniała mi się wyprawa sprzed lat pięćdziesięciu, której historię znałem dosyć dobrze. Dodać muszę, że nie podzielałem nigdy przekonania o bezwzględnej zatarenie podróżników mimo beznadziejnej treści ostatniej depeszy, jaką od nich Ziemia otrzymała. Za wcześnie było jednak teraz wyjawiać domysły, zabrałem więc tylko kulę i przewiozłem z największą ostrożnością do domu, pewny niemal w duchu, że znajdę w niej cenne wskazówki o tych zaginionych. Z jej niewielkiego względnie ciężaru odgadłem zaraz, że jest wydrążona.

W domu w największej tajemnicy zabrałem się do roboty. Nie łudziłem się ani na chwilę, że jeśli się w niej znajdują jakie papiery, to musiały ulec zwęgleniu podczas rozpalania się żelaza w ziemskiej atmosferze. Należało zatem otworzyć kulę tak, aby tych przypuszczalnych szczątków nie zniszczyć, a może – myślałem – da się z nich co odcyfrować.

Praca była nadzwyczajnie ciężka, zwłaszcza że nie chciałem brać nikogo do pomocy. Przypuszczenia moje zbyt były niepewne, a nawet – przyznaję – fantastyczne, aby je można było przedwcześnie rozgłosić.

Spostrzegłem, że szczyt kuli stanowi śruba, którą należało odkręcić. Osadziłem więc kulę szczelnie w ciężkim śrubsztaku, aby ją uchronić od wstrząśnień mogących uszkodzić jej zawartość, i zabrałem się do roboty. Śruba była zardzewiała i nie chciała odchodzić. Po długich usiłowaniach nareszcie udało mi się ją poruszyć. Pamiętam, ten pierwszy zgrzyt obracanej śruby przejął mnie dreszczem radości i niepokoju zarazem. Musiałem pracę przerwać na chwilę, gdyż trzęsły mi się ręce. Powróciłem do niej po godzinie, z bijącym jeszcze sercem.

Śruba poruszała się z wolna, gdy wtem postyszałem dziwny świst. Początkowo nie mogłem zrozumieć jego przyczyny. Prawie bezmyślnie poruszyłem śrubą w odwrotnym kierunku i świst ustał prawie natychmiast; zaledwie jednak znów nieco odkręciłem śrubę, dał się zaraz słyszeć, choć był teraz słabszy. Nareszcie pojąłem wszystko! Wnętrze kuli było całkowitą próżnią! Świst pochodził z wdzierania się powietrza do środka szczeliną przez rozluźnienie śruby utworzoną!

Ta okoliczność upewniła mnie w przekonaniu, że jeśli kula zawiera w sobie papiery, to nie będą całkiem zniszczone, gdyż brak powietrza musiał je uchronić od spalenia, gdy kula rozżarzyła się, przebywając atmosferę ziemską! W parę chwil przekonałem się o słuszności tych domysłów. Po usunięciu

śruby znalazłem w kuli, której wewnątrz wyłożone było jeszcze warstwą wypalanej gliny, zwój papierów zwęglonych, ale niespalonych. Nie śmiałem prawie oddychać z obawy, aby tych cennych dokumentów nie uszkodzić. Wyjąłem je z największą ostrożnością i... popadłem w rozpacz. Na zwęglonym papierze litery były prawie niewidoczne, a ponadto papier był tak kruchy, że się niemal rozsypywał w rękę.

Bądź co bądź, postanowiłem dokonać dzieła i treść rękopisu odczytać. Kilka dni zeszło mi na rozmyślanie, jak się wziąć do tego. Wreszcie uciekłem się do pomocy promieni rentgenowskich. Przypuszczałem – i jak się później okazało słusznie, że atrament, którego użyto do pisma, zawierał składniki mineralne, a zatem zaczernione nim miejsca będą stawiały większy opór promieniom rentgenowskim niż sam zwęglony papier. Naklejałem tedy ostrożnie każdą kartę rękopisu na cienką błonę, rozpiętą w ramie, i robiłem rentgenowskie zdjęcia fotograficzne. W ten sposób otrzymałem klisze, które po przeniesieniu obrazu na papier dały mi rodzaj palimpsestów, gdzie litery, po obu stronach papieru pisane, łączyły się ze sobą. Było to trudne do odczytania, ale bynajmniej nie niemożliwe.

Za kilka tygodni postąpiłem był już tak daleko z odczytywaniem rękopisu, że nie widziałem potrzeby zachowywania dłużej całej rzeczy w tajemnicy. Wtedy to napisałem ów pierwszy artykuł donoszący o wypadku... Dzisiaj leży przede mną cały rękopis gotowy, odczytany, uporządkowany i przepisany i nie mam zgoła wątpliwości, że

został spisany na Księżycu ręką jednego z pięciu najpierw wyprawionych podróżników i wysłany z Księżyca na Ziemię.

Co do reszty – treść rękopisu mówi sama za siebie”.

Do tego wyjaśnienia, które poprzedziło ogłoszenie tekstu rękopisu, dodał asystent krótką historię samejże wyprawy.

Przypomniał zatem, że pierwsza myśl wyszła od irlandzkiego astronoma, O'Tamora, a pierwszym jej zapalonym i niewątpiącym w urzeczywistnienie zwolennikiem stał się młody, sławny podówczas w Brazylii portugalski inżynier, Piotr Varadol. Ci, pozyskawszy trzeciego towarzysza w Polaku, Janie Koreckim, który im oddał do rozporządzenia całą, dość znaczną fortunę, rozpoczęli zabiegi około urzeczywistnienia jasno już określonego planu. Przede wszystkim tedy przedstawiono szkice projektu akademiom i ciałom naukowym, a następnie wezwano pomocy fachowych powag do opracowania jego szczegółów. Myśl spotkała się z nadspodziewanym uznaniem i obudziła zapał; wkrótce nie była to już sprawa kilku ludzi, lecz całego cywilizowanego świata, który zapragnął wysłać swych przedstawicieli na Księżyc celem dowiedzenia się bliższych szczegółów o tym globie. Na wniosek akademii i astronomicznych instytutów rządy pospieszyły z pomocą pieniężną, a że nie brakło i znacznych ofiar prywatnych, więc wkrótce inicjatorowie mieli do rozporządzenia kapitały, z którymi można było już nie jedną, ale kilka wypraw urządzić. Tak też postanowiono. Jak wiadomo jednak, dwie tylko z tych wypraw doszły do skutku.

Załogę pierwszego pocisku stanowić miało pięciu ludzi, w tej liczbie trzech autorowie projektu; czwartym był Anglik, lekarz Tomasz Woodbell, piątym Niemiec Braun, który wszakże cofnął się w ostatniej chwili. Na miejsce jego zgłosił się nieznamy ochotnik.

W drugim pocisku zamknęło się dwóch braci, Francuzów, nazwiskiem Remogner.

Po tym krótkim zarysie historycznym asystent w dalszym ciągu memoriału rozwodził się obszernie nad techniczną stroną przedsięwzięcia. Opisał tedy szczegółowo zbudowanie olbrzymiej armaty w kształcie stalowej studni, mówił o budowie pocisku, który po dostaniu się na bezpowietrzną powierzchnię Księżyca można było zamienić na hermetycznie zamknięty wóz poruszany osobnym motorem elektrycznym, opisywał przyrządy ochronne, mające podróżników zabezpieczyć od zmiążdżenia w chwili wystrzału, a następnie spadku na Księżyc, wreszcie wymieniał wszystkie przedmioty składające się na wewnętrzne urządzenie i zaopatrzenie „przenośnego pokoju”.

Księżyc nie jest światem gościnnym. Astronomowie wiedzą o tym od dawna, chociaż go znają tylko z daleka i – jednostronnie. Mimo niesłychanego udoskonalenia przyrządów optycznych w dwudziestym wieku, Księżyc oparł się zwycięsko próbom przybliżenia go do Ziemi za ich pomocą na taką odległość, aby można było zbadać wszystkie szczegóły jego powierzchni. Krążąc około Ziemi w średniej odległości trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, wydaje się w

szkłach o tysiąckrotnym powiększeniu odległym od niej na 384 km, co stanowi jeszcze zawsze pokaźny kawałek drogi. Silniejszych zaś szkieł nie można używać do jego badania, gdyż przy znaczniejszym powiększeniu z powodu za małej przezroczystości atmosfery ziemskiej otrzymuje się obraz tak niewyraźny, że niepodobna poznać na nim nawet gór, w słabszych szkłach dokładnie widocznych.

Nadto badaniu dostępna jest tylko jedna półkula księżycowego globu. Księżyc bowiem, odbywając swą drogę naokoło Ziemi w dwudziestu siedmiu dniach, czterdziestu trzech minutach i jedenastu sekundach, wykonywa w tym czasie tylko jeden obrót około swej osi, tak że zwrócony jest ku Ziemi zawsze tą samą stroną swej powierzchni. Zjawisko to nie jest przypadkowe. Księżyc nie jest dokładną kulą, ale zbliża się kształtem do bardzo mało wydłużonego jaja. Siła przyciągania Ziemi sprawia, że jaje owo zwraca się ku niej ostrym końcem i tak krąży, jakby na uwięzi, nie mogąc się odwrócić.

Znana astronomom połowa Księżyca wystarczyła jednak, aby go zdyskredytować najzupełniej w opinii ludzi marzących o zamieszkaniu innych niż Ziemia światów. Ta powierzchnia naszego satelity, większa co do obszaru dwa razy od Europy, przedstawia się w teleskopach jako bezwodna i pustynna wyżyna, zasiana wprost niezliczoną ilością obrączkowych gór, podobnych z kształtu do olbrzymich kraterów, nierzadko o stukilometrowej średnicy, których brzegi wznoszą się do siedmiu tysięcy metrów ponad okoliczne równiny. W północnej części zwróconej ku

nam półkuli ciągnie się szereg obszernych kolistych płaszczyzn, nazwanych przez pierwszych selenografów morzami. Równiny te o stromych brzegach, utworzonych przez niebotyczne łańcuchy górskie, poprzerynane są w różnych kierunkach mnóstwem szczelin, których pochodzenie zawsze zastanawiało astronomów, zwłaszcza że na Ziemi nie istnieje nic podobnego. Szczeliny te, nieraz na sto kilkadziesiąt kilometrów długie, a na parę szerokie, dochodzą głębokością do tysiąca metrów i więcej.

Jeśli sobie uprzytomnimy jeszcze, że ta powierzchnia pozbawiona jest niemal zupełnie atmosfery, że „dzień” księżycowy, trwający naszych dni czternaście, jest tam latem, podczas którego upał dochodzi do niesłychanego natężenia, a czternastodniowa noc zimą, mroźniejszą niż nasze zimy podbiegunowe, będziemy mieli obraz kraju, wcale nie zachęcającego do obrania go sobie za „stałe miejsce pobytu”. Tym więcej podziwiać trzeba poświęcenie ludzi, którzy z narażeniem własnego życia wybrali się na ten glob w tym jedynie celu, aby powiększyć zasób ludzkiej wiedzy nieulegającymi wątpliwości wiadomościami o najbliższym Ziemi ciele niebieskim.

Podróżnicy mieli zresztą zamiar przebyć tylko jak najprędzej tę niegościnną półkulę i dostać się na drugą, od Ziemi odwróconą stronę Księżyca, gdzie spodziewali się niebezpiecznie znaleźć znośne warunki do życia. Większość piszących o Księżycu uczonych twierdzi wprawdzie, że i na tamtej stronie atmosfera jest zbyt rzadka, aby można nią oddychać; wszakże O'Tamor,

opierając się na wieloletnich badaniach i obliczeniach, wnosił, że znajdzie tam powietrze o dostatecznej gęstości dla utrzymania życia, a z powietrzem wodę i roślinność, mogącą dostarczyć najlichszego bodaj pożywienia. Ci śmiali ludzie gotowi zresztą byli nawet na śmierć, byle wydrzeć przedtem gwiazdzistemu niebu bodaj jedną z tych jego tajemnic, które tak zazdrośnie ukrywa przed człowiekiem. Odwagę ich podnosiła myśl, że poświęcenie to w żadnym razie nie pozostanie bezowocnym, gdyż będą mogli spostrzeżeń swych udzielić pozostałym na Ziemi ludziom przy pomocy wziętego ze sobą telegraficznego aparatu. A nuż – myśleli czasem, upojeni wielkością swego przedsięwzięcia – nuż znajdą na tamtej tajemniczej stronie Księżyca raj czarodziejski i dziwny, świat nowy, zgoła odmienny od ziemskiego, a gościnny? Marzyli wtedy o wezwaniu nowych towarzyszy do przebycia owych setek tysięcy kilometrów, o założeniu tam, na tej jasnej, Ziemi w cichej nocy świecącej, kuli nowego społeczeństwa, nowej ludzkości, szczęśliwszej... może...

Tymczasem trzeba się było liczyć z koniecznością przebycia górzystej, bezpowietrznej i bezwodnej pustynnej wyżyny, zajmującej całą ku Ziemi zwróconą półkulę Księżyca. Nie było to drobnostką. Obwód Księżyca wynosi blisko jedenaście tysięcy kilometrów; gdyby zatem upadli, jak się spodziewali, na środek ku Ziemi zwróconej tarczy, mieliby do zrobienia około trzech co najmniej tysięcy kilometrów, nimby się dostali w okolice, gdzie mieli nadzieję móc oddychać i żyć. Pocisk – kształtu

wydłużonego, z jednej strony stożkowo zakończonego cylindra – był też odpowiednio urządzony, aby go można zamienić na pewien rodzaj zamkniętego samochodu, i zaopatrzonego obficie w zapasy zgęszczonego powietrza, wody, żywności i paliwa, mogące wystarczyć dla pięciu osób na cały rok, to jest nawet na dłużej, niż potrzeba dla dostania się na odwrotną stronę Księżyca.

Oprócz tego wzięli z sobą podróżnicy znaczną liczbę różnych narzędzi, małą biblioteczkę i... sukę z dwojgiem szczeniąt.

Była to piękna i wielka angielska wyżlica, należąca do Tomasza Woodbella, którą przed puszczeniem się w drogę ochrzczono zgodnie mianem Seleny.

Te wszystkie rzeczy przypominał szczegółowo memoriał asystenta w K... mający służyć za objaśnienie do wydanego wkrótce potem rękopisu.

Rękopis sam, spisany po polsku na Księżycu przez Jana Koreckiego, uczestnika pierwszej wyprawy, składał się z trzech części, powstałych w różnych czasach, a wiążących się ze sobą w organiczną całość, stanowiącą opowieść o przedziwnych losach i przejściach rozbitka wyrzuconego na ląd zawieszony w błękitnie trzysta osiemdziesiąt cztery miliony metrów ponad Ziemią.

A oto przedruk dosłowny owego rękopisu według pierwszego wydania, sporządzonego przez asystenta obserwatorium w K...

Rękopisu część pierwsza.

Dziennik podróży

Na Księżycu, dnia...

Mój Boże! jakąż ja datę mam położyć?! Ów wybuch potworny, któremu kazaliśmy się wyrzucić z Ziemi, rozsadził nam rzecz uważaną tam za najtrwalszą ze wszystkiego, co istnieje, rozsadził nam i popsuł czas. W istocie to jest okropne! pomyśleć tylko, że tu, gdzie jesteśmy, nie ma lat, nie ma miesięcy ani dni, naszych krótkich, rozkosznych, ziemskich dni... Zegarek mi mówi, że upłynęło już z górą czterdzieści godzin od chwili, kiedyśmy tu spadli; spadliśmy w nocy, a słońce jeszcze nie wzeszło. Spodziewamy się je ujrzeć dopiero za dwadzieścia kilka godzin. Wzejdzie i pójdzie po niebie leniwie, dwadzieścia dziewięć razy wolniej niż tam, na Ziemi. Trzysta pięćdziesiąt cztery godziny będzie świecić nad naszymi głowami, a potem przyjdzie znowu noc trwająca trzysta pięćdziesiąt cztery godzin. Po nocy znów dzień, taki sam, jak poprzedni, i znowu noc, i znów dzień – i tak bez końca, bez odmiany, bez pór roku, bez lat, bez miesięcy...

Jeśli dożyjemy...

Siedzimy beczynn timer, zamknięci w naszym pocisku, i czekamy słońca. O! ta straszna tęsknota za słońcem!

Noc wprawdzie jest jasna, jaśniejsza bez porównania od

naszych – tam – ziemskich nocy podczas pełni. Olbrzymi półkrąg Ziemi tkwi nad nami nieruchomie² w czarnym niebie u zenitu i zalewa białym światłem tę pustkę straszliwą wokół nas... W tym dziwnym świetle jest wszystko takie tajemnicze i martwe. I mróz... Och! jaki straszny mróz! – Słońca! słońca!

O'Tamor od chwili upadku nie odzyskał jeszcze przytomności. Woodbell, choć sam pokaleczony, nie odstępował go ani na chwilę. Obawia się, że to jest wstrząśnienie mózgu, i bardzo mało robi nadziei. Na Ziemi – powiada – wyleczyłby go. Ale tutaj w tym ohydny mrozie, tu, gdzie za jedyne niemal pożywienie mamy zapas sztucznego białka i cukru, gdzie musimy oszczędzać powietrza i wody... To by było straszne! stracić O'Tamora, właśnie jego, który jest duszą naszej wyprawy!...

Ja, Varadol i Marta, a nawet Selena z obojgiem szczeniąt, jesteśmy zdrowi. Marta zdaje się nic nie wiedzieć i nie czuć. Wodzi tylko oczyma za Woodbellem, zaniepokojona jego ranami. Szczęśliwy Tomasz! Jak go ta kobieta kocha!

Och! ten mróz! Zdaje się, że nasz pocisk zamknięty zamienia się wraz z nami w bryłę lodu. Pióro wysuwa mi się ze zgrabiących palców. O, kiedyż nareszcie wzejdzie słońce!

Tejże nocy w 27 godzin później.

Z O'Tamoreem coraz gorzej, nie można się łudzić – to jest już agonia. Tomasz, czuwając nad nim, zapomniał o własnych ranach i sam teraz tak osłabł, że się musiał położyć; Marta

² *nieruchomie* – dziś: nieruchomo. [przypis edytorski]

zastępuje go przy chorym. Skąd ta kobieta bierze tyle sił? Odkąd się otrząsnęła z pierwszego oszołomienia po spadku, jest najczynniejsza z nas wszystkich. Zdaje mi się, że jeszcze nie spała.

Ach! ten mróz...

Varadol siedzi osowiały i milczący. Na kolanach jego zwinięta w kłębek Selena. On mówi, że im tak cieplej obojgu. Szczenięta położyliśmy w łóżku obok Tomasza.

Próbowałem spać, ale nie mogę. Mróz mi spać nie daje i to upiorne światło Ziemi nad nami. Już tylko mało co więcej nad pół tarczy jej widać. Znak to, że słońce wzejdzie niebawem. Nie umiemy dokładnie obliczyć, kiedy to nastąpi, gdyż nie wiemy, w którym punkcie tarczy Księżyca się znajdujemy. O'Tamor byłby to z łatwością obliczył ze stanu gwiazd, ale on leży bezprzytomny. Będzie się musiał Varadol w jego zastępstwie wziąć do tej roboty. Nie wiem, dlaczego z tym zwleka.

Powinniśmy byli według obliczenia spaść na *Sinus Medii*, ale Bóg jeden wie, gdzie się istotnie znajdujemy. Na *Sinus Medii* powinno by już słońce świecić o tej porze. Widocznie spadliśmy dalej ku „wschodowi” – jak na Ziemi tę stronę Księżyca nazywają, gdzie dla nas będzie słońce zachodziło – niezbyt jednak daleko od środka księżycowej tarczy, gdyż Ziemia jest nad nami niemal w zenicie.

Tyle nowych, dziwnych wrażeń odbieram zewsząd, że ich nie mogę zebrać ani uporządkować. Przede wszystkim to niesłychane, wprost strachem przejmujące uczucie lekkości...

Wiedzieliśmy na Ziemi, że Księżyc, czterdzieści dziewięć razy od niej mniejszy, a osiemdziesiąt jeden razy lżejszy, będzie nas przyciągał sześć razy słabiej, choć się bliżej jego środka ciężkości znajdujemy; ale co innego jest wiedzieć o czymś, a co innego czuć. Jesteśmy już blisko siedemdziesiąt godzin na Księżycu i nie możemy się jeszcze przyzwyczać do tego. Nie umiemy zastosować wysiłku naszych mięśni do zmniejszonej wagi przedmiotów, ba! nawet własnego ciała. Powstaję szybko ze siedzenia i podskakuję blisko na metr w górę, mimo że się chciałem tylko podnieść. Varadol chciał przed kilku godzinami zgiąć hak z grubego drutu, przymocowany do ściany naszego domu. Chwycił go dłonią – i podniósł się cały w górę na dłoni! Zapomniał, że waży teraz zamiast siedemdziesięciu kilku, tylko niespełna trzynaście kilogramów! Co chwilę któryś z nas rzuca gwałtownie przedmiotami, chcąc je tylko przesunąć. Wbicie gwoździa staje się rzeczą prawie niemożliwą wobec tego, że młotek, ważący na Ziemi dwa funty, waży tutaj zaledwie sto siedemdziesiąt parę gramów! Pióra, którym piszę, nie czuję prawie w ręku.

Marta powiedziała przed chwilą, że ma wrażenie, jakby się już stała duchem, pozbawionym ważkiego ciała. To jest bardzo dobre określenie. W istocie jest coś nieswojskiego w tym uczuciu dziwnej lekkości... Można by naprawdę uwierzyć, że się jest duchem, zwłaszcza wobec widoku Ziemi świecącej na niebie jak Księżyc – tylko czternaście razy większy i jaśniejszy od tego, który ziemskie noce rozjaśnia. Wiem, że to wszystko prawda, a

wciąż mi się zdaje, że śnię lub znajduję się w gmachu opery na jakiejś dziwnej feerii. Lada chwila – myślę – spadnie kurtyna i te dekoracje się zwiną jak sen...

I o tym przecież wiedzieliśmy dobrze przed wyruszeniem w drogę, że tak Ziemia będzie świecić nad nami, jak olbrzymia, nieruchoma lampa zawieszona wśród nieba. Ciągłe powtarzam sobie, że to rzecz tak prosta: Księżyc odbywa swoją drogę zwrócony ku Ziemi wciąż jedną stroną, a więc ona musi się wydawać nieruchomą patrzącym na nią z Księżyca. Tak, to jest rzecz naturalna, a przecież straszy mnie ten świecący szklany upiór Ziemi, wpatrujący się w nas od siedemdziesięciu godzin nieruchomie³ i uporczywie z samego zenitu!

Widzę ją przez szybę w zwróconej ku górze ścianie pocisku i rozróżniam gołym okiem ciemniejsze plamy mórz i rozjarzone tarcze lądów. Przesuwają się przede mną z wolna, wyłaniają się po kolei z cienia: Azja, Europa, Ameryka – zwięzają się na krawędzi świetlistego globu i zachodzą, aby znów po dwudziestu czterech godzinach się ukazać.

Tak mi się zdaje, że cała Ziemia zamieniła się w oko rozwarte, bezlitosne i czujne i wpatruje się uporczywie a ze zdziwieniem w nas, którzyśmy od niej uciekli z ciałem – pierwsi ze wszystkich jej dzieci.

W pierwszej chwili po upadku, gdyśmy nieco oprzytomnieli i odśrubowali żelazne pokrywy zasłaniające okrągłe szyby naszego domku, zobaczyliśmy ją już nad sobą. Była niemal

³ *nieruchomie* – dziś: *nieruchomo*. [przypis edytorski]

w pełni. Wtedy podobna była do oka szeroko w osłupieniu rozwartego; teraz z wolna zasuwają się na tę straszną, nieruchomą źrenicę powieka cienia. W chwili kiedy słońce, niepoprzedzone świtem, wybuchnie zza skał jak płomienna i bezpromienna kula na czarnym niebie, już się to oko zmruży do połowy, a zamknie się całkiem, gdy słońce stanie prostopadle nad nami.

W trzy godziny później.

Odwołany do O'Tamora, przerwałem to pisanie, którym wypełniam długie godziny, z konieczności beczynnymi spędzane.

Z tą straszną ostatecznością nigdyśmy się nie liczyli, że możemy zostać sami bez niego. Byliśmy przygotowani na śmierć, ale na własną, nigdy na jego śmierć! A tu nie ma ratunku... Tomasz też leży w gorączce i miast chorą się opiekować, sam wymaga opieki. Marta nie odstępowała ich ani na chwilę, zwracając się to do jednego, to do drugiego, a my z Piotrem stoimy bezradni i nie wiemy, co począć.

O'Tamor nie odzyskał przytomności i już jej nie odzyska. Sześćdziesiąt lat z górą przeżył na Ziemi, aby tu...

Nie, nie! nie mogę tego słowa wymówić! To jest straszne! on! na samym wstępie!...

Jesteśmy tu tak okropnie sami w tej długiej, strasznym mrozem przejmującej nas nocy.

Przed paru godzinami Marta, jakby przejęta nagle tym uczuciem bezbrzeżnej pustki i samotności, rzuciła się ku nam ze złożonymi rękami, wołając:

– Na Ziemię! na Ziemię! – i zaczęła płakać.

A potem znowu wołała:

– Czemu nie telegrafujecie na Ziemię! czemu nie dacie tam znać? Patrzcie, Tomasz chory!

Biedna dziewczyna! – cóżeśmy jej mieli odpowiedzieć?

Wie równie dobrze, jak my, że już na sto dwadzieścia kilka milionów metrów przed Księżycem aparat nasz przestał funkcjonować... Wreszcie Piotr jej to przypomniał, a ona, jak gdyby przesłanie wiadomości mogło chorych uratować, zaczęła się domagać natarczywie, aby ustawić armatę, którąśmy wzięli z Ziemi na wypadek zepsucia się telegraficznego aparatu.

Ten strzał, to już teraz jedyny – ostatni sposób porozumienia się z tymi, co tam zostali.

Ulegliśmy obaj z Varadolem i odważyliśmy się na wyjście z pocisku.

Przyznaję, że strach mię zdejmował przed tym krokiem. Tam, poza chroniącymi nas ścianami istotnie jest niemal próżnia... Barometr bowiem wykazuje istnienie na zewnątrz nas atmosfery, której gęstość nie wynosi ani trzechsetnej części gęstości ziemskiego powietrza. Okoliczność, że ta atmosfera w ogóle istnieje, chociaż w takim rozrzedzeniu, jest dla nas nader pomyślna, gdyż pozwala nam spodziewać się, że znajdziemy ją na *tamtej stronie* w dostatecznej do oddychania gęstości. Ach! z jakimż drzeniem serca wysuwaliśmy przed kilkudziesięciu godzinami po raz pierwszy barometr na zewnątrz! Z początku rtęć tak gwałtownie spadła, iż zdawało się nam, że się zrównała zupełnie z powierzchnią. Ogromny, zimny przestрах ścisnął nas

za gardło: to by znaczyło – próżnia absolutna, a z nią śmierć nieuchronna! Ale za chwilę rteć, powróciwszy do równowagi, podniosła się w rurce na 2,3 mm! Odetchnęliśmy swobodniej – choć tym powietrzem tam oddychać nie można!

I mieliśmy teraz wyjść dla ustawienia armaty w tę próżnię. Włożywszy nasze „nurkowe ubrania” i umocowawszy nad karkiem zbiorniki ze zgęszczonym powietrzem na zapas, stanęliśmy gotowi we wgłębieniu znajdującym się w ścianie pocisku. Marta zamknęła za nami szczelnie drzwi od wnętrza, aby wraz z nami nie uciekło stamtąd tak cenne dla nas powietrze, a wtedy myśmy otworzyli zewnętrzną klapę...

Dotknęliśmy stopami księżycowego gruntu i w tejże chwili ogarnęła nas straszliwa głusza. Widziałem przez szklaną maskę na twarzy, że Piotr porusza ustami, domyślałem się, że mówi, ale nie słyszałem ani słowa. Tam powietrze jest zbyt rzadkie, aby mogło głos ludzki przewodzić.

Podniosłem odłam kamienia i rzuciłem go pod nogi. Upadł wolno, wolniej niż na Ziemi i zgoła bez stuku. Zatoczyłem się jak pijany; zdawało mi się, że jestem już rzeczywiście w świecie duchów.

Musieliśmy się porozumiewać na migi. Ziemia, która nas żywiła, teraz świecąc pomagała się nam porozumieć.

Wyjęliśmy armatę, umieszczoną w schowku w ścianie, otwieranym na zewnątrz, i puszkę z materiałem wybuchowym, osobno dla niej przyrządzonym. Ta robota poszła nam łatwo; wszak armata waży tutaj zaledwie szóstą część tego, co ważyła

na Ziemi!

Teraz należało tylko ustawić działo dokładnie do pionu nabić, umieściwszy w wydrążonej kuli kartkę; wobec lekkości materiałów na Księżycu – siła wybuchu wystarczy w zupełności, aby zanieść ją po prostej linii na Ziemię. Ale tego nie potrafiliśmy już zrobić. Potworny, ohydny, straszliwy mróz ścisnął nas żelaznymi szponami za piersi. Wszak tu od trzystu kilkudziesięciu godzin słońce już nie świeciło, a nie ma dość gęstej atmosfery, aby mogła przez tak długi czas utrzymać ciepło rozpalonych zapewne w długim dniu kamieni...

Powróciliśmy do pocisku, który się nam wydał rozkosznym, ciepłym rajem, choć tak oszczędzamy paliwa!

Przed wschodem słońca, które ten świat ogrzeje, niepodobna ponawiać próby wyjścia. A tego słońca jak nie ma, tak nie ma!

Kiedyż nareszcie się zjawi i co nam przyniesie?

70 godzin 46 minut po przybyciu na Księżyc.

O'Tamor umarł.

Pierwszego dnia księżycowego, 3 godziny po wschodzie słońca.

Jest nas już tylko czworo. Za chwilę puszczamy się w drogę. Wszystko gotowe: pocisk nasz po przymocowaniu kół i ustawieniu motoru zamienił się w wóz, który nas powiezie przez te pustynie ku krajowi, gdzie będzie można żyć... O'Tamor tu zostanie...

Uciekliśmy od Ziemi, ale śmierć, wielka władczyni ziemskich plemion, przebyła wraz z nami te przestrzenie i oto przypomniwała się zaraz na wstępie, że jest przy nas – nielitosna, zwycięska jak

zawsze. Uczuliśmy jej obecność i bliskość, i wszechwładztwo tak żywo, jak nigdy tam na Ziemi. Spoglądamy mimo woli po sobie: na kogo teraz kolej?...

Noc jeszcze była, gdy nagle Selena zerwała się z kąta, gdzie w kłębek zwinięta leżała od paru godzin, i wyciągnawszy pysk ku świecącemu przez okno półksiężycowi Ziemi, zaczęła wyć przeraźliwie. Podskoczyliśmy wszyscy, jakby podrzuceni jakąś wewnętrzną siłą.

– Śmierć idzie! – krzyknęła Marta.

A Woodbell, który czując się zdrowszym, stał znowu przy łóżku O'Tamora, odwrócił się ku nam powoli:

– Już przysła – rzekł.

Wynieśliśmy trupa z pocisku. W tym skalistym gruncie niepodobna wykopać grobu. Księżyc nie chce przyjąć naszych umarłych, jakże przyjmie nas żywych?

Ułożyliśmy tedy zwłoki na wznak na tej twardej księżycowej skale, twarzą ku niebu i świecącej na nim Ziemi, i poczęliśmy gromadzić z rzadka rozsypane po płaszczyźnie kamienie, aby z nich ułożyć mogiłę. Otoczyliśmy ciało niewysokim wałem, nie mogliśmy jednak znaleźć dość dużej płyty kamiennej, aby je przykryć. Wtedy Piotr przez rurę, łączącą nasze głowy i umożliwiającą porozumiewanie się, rzekł:

– Zostawmy go tak... Czy nie widzisz, że patrzy na Ziemię?

Spojrzałem na trupa. Leżał na wznak i zdawał się istotnie szklistymi, rozwartymi oczyma wpatrywać w to oko Ziemi, mrużące się ciągle, ciągle przed blaskiem dla nas jeszcze

niewidocznego słońca, które miało wzejść niebawem.

Niech tak zostanie...

Z dwóch sztab żelaznych, ułamków potrzaskanego rusztowania, które nas uchroniło od rozbicia się podczas spadku, zrobiliśmy krzyż i umocowaliśmy go w wale kamiennym nad głową O'Tamora.

Wtem – gdy właśnie ukończywszy smutną robotę, mieliśmy wracać do pocisku – stało się coś dziwnego. Szczyty gór, majaczące przed nami w trupim świetle Ziemi, nagle, bez żadnego przejścia, na jedno mgnienie oka stały się krwawoczerwone, a potem zaraz rozpląnęły białym, jarzącym blaskiem na tle wciąż jednakowo czarnego nieba. Podnóża gór przez kontrast oświetlenia poczerniawszy teraz zupełnie, były prawie niewidoczne i tylko te cyple najwyższe, jak w ogniu do białości rozżarzona stal, wisiały nad nami, powiększając się z wolna, lecz ciągle. Z powodu braku perspektywy powietrznej, umożliwiającej na Ziemi ocenienie odległości, te jasne plamy zdawały się wisieć na tle czarnego nieba wśród gwiazd tuż przed naszymi głowami, oderwane od podstawy skalistej, która w szarości się zgubiła. Nie śmieliśmy ręki wyciągnąć w obawie, aby nie natknąć palcami na te kawały żywego światła.

A one rosły wciąż przed naszymi oczyma, co sprawiało wrażenie, jakby zbliżały się do nas wolnym, nieubłaganym ruchem; mieliśmy ich już pełne oczy, już, zda się, były tuż, tuż przed nami... Cofnęliśmy się mimo woli, zapominając, że te szczyty są od nas o setki, a może tysiące metrów odległe.

Wtem Piotr obejrzał się i krzyknął. Odwróciłem głowę za jego przykładem i – osłupiałem uderzony nowym a niesłychanym widowiskiem na wschodzie.

Nad czarną piłą jakiegoś grzbietu górskiego iskrzył się bladawy, srebrzysty słup światła zodiakalnego. Patrzyliśmy w nie, zapomniawszy na chwilę o zmarłym, gdy wtem po pewnym czasie zaczęły u dołu słupa, tuż nad krawędzią widnokregu, błyskać drobne, ruchliwe, skaczące czerwone płomyki, wiankiem obok siebie ułożone.

To słońce wschodziło! z utęsknieniem oczekiwane, upragnione, życiodajne słońce, którego O'Tamor tu już nie zobaczy!

Rozpłakaliśmy się obaj jak dzieci.

W tej chwili to słońce świeci już nad horyzontem, jasne i białe. Owe, naprzód widziane, płomyki czerwone, to były protuberancje, olbrzymie wytryski żarzących się gazów, które strzelają na wszystkie strony z kuli słonecznej, a na Ziemi, gdzie atmosfera je załsniewa, widoczne bywają tylko podczas całkowitych zaćmień słońca. Tutaj – wobec braku powietrza – zapowiedziały nam ukazanie się tarczy słonecznej i przez długi czas jeszcze co dnia je tak będą zapowiadać, rzucając na chwilę krwawy odblask na góry, nim się rozjarzą do białą w pełnym blasku dziennym.

Po kilkadziesiąt minutach dopiero na miejscu ruchliwego wianka czerwonych ogników, kiedy już blask spełznął ze szczytów tu w dolinę, biały rąbek tarczy słonecznej ukazał się

nam nad widnokręgiem; godziny całej potrzebowała ta tarcza, aby się wyłonić całkowicie zza tych skał na wschodzie.

Przez cały ten czas mimo okropnego mrozu zajmowaliśmy się przygotowaniami do podróży. Ale istotnie każda chwila jest droga; dłużej zwlekać niepodobna. Teraz już wszystko gotowe.

Ze wschodem słońca zrobiło się cieplej. Promienie jego, choć tak ukośnie jeszcze padają, grzeją całą mocą, nieosłabione przez pochłaniającą atmosferę, jak to jest na Ziemi. Dziwny widok...

Słońce płonie jak jasna, bezpromienna kula, położona na górach jakby na olbrzymiej, czarnej poduszce. Dwie są tutaj tylko barwy, męczące kontrastem oko nad wszelki wyraz: biała i czarna. Niebo jest czarne i mimo że zrobił się już dzień, zasiane niezliczonym mnóstwem gwiazd: wokoło nas krajobraz pusty, dziki, przestraszający – bez złagodzeń światła, bez półcieni, w połowie lśniącobiały od słonecznego blasku, w połowie zaś zupełnie czarny w cieniu. Nie ma tu atmosfery, która tam na Ziemi nadaje niebu tę cudowną, błękitną barwę, a sama, światłem przesycona, roztopia w sobie gwiazdy przed wschodem słońca i stwarza świty i zmierzchy, różowi się zorzą i zasępia chmurami, przepasuje się tęczą i powoduje delikatne przejścia od światła do mroku.

Nie! stanowczo oczy nasze nie są stworzone do tego światła i tego krajobrazu.

Znajdujemy się na rozległej równinie z litej skały, porysowanej tu i ówdzie niewielkimi szczelinami i powydymanej w obłe, niewysokie, podłużne garby, ciągnące się w kierunku

północno-zachodnim. Na zachodzie (*wschód* i *zachód* naszego świata oznacza zgodnie z *istotnym* stanem rzeczy, a więc *przeciwnie*, niż to widzimy na ziemskich mapach Księżyca), na zachodzie tedy widać niewielkie, ale nadzwyczajnie strome wzgórza, nad którymi w północno-zachodniej stronie króluje niebotyczna, poszarpana piła jakiegoś szczytu. Od północy grunt wznosi się powoli, do znacznej jednak, jak się zdaje, wysokości. Na wschodzie mnóstwo szczelin, garbów, wyrw i małych kotlinek, podobnych do dołków sztucznie wygrzebanych; ku południu rozciąga się nieprzejrzana okiem płaszczyna.

Varadol utrzymuje na podstawie pospiesznie dokonanych pomiarów wysokości Ziemi na niebie, że znajdujemy się istotnie na *Sinus Medii*, gdzieśmy według obliczeń spaść byli powinni. Mnie się to jakoś nie zdaje, gdyż szczyty, okalające od zachodu i północy ową płaszczynę, znane z map: *Mosting*, *Sommering*, *Schroter*, *Bode* i *Pallas* nie odpowiadają ani rozmieszczeniem, ani wysokością temu, co tu widzimy. Ale ostatecznie wszystko jedno! Ruszamy ku zachodowi, aby posuwając się wzdłuż równika, gdzie według map grunt zdaje się być najrówniejszym, okrążyć kulę księżycową i dostać się na *tamtą stronę*.

Za chwilę – nic tu już z nas nie pozostanie, kromia⁴ grobu i krzyża, oznaczającego po wieczne czasy miejsce, gdzie pierwsi ludzie wylądowali na Księżycu.

Żegnaj mi więc, grobie towarzysza, pierwsza budowla, jakąśmy wznieśli na tym nowym świecie! Żegnaj, martwy

⁴ *kromia* – dziś: krom; oprócz. [przypis edytorski]

przyjacielu, ojciec nasz drogi i niedobry, któryś nas wywiódł ze Ziemi⁵ i opuścił na wstępie do nowego życia! Oto krzyż, zatknięty na twojej mogile, jest jakby sztandarem, świadczącym, że Śmierć zwycięska, przybywszy z nami, wzięła już ten kraj w posiadanie... My uciekamy przed nią, ty tu z nią zostaniesz, spokojniejszy od nas, zapatrzony w nieruchomą Ziemię, która cię zrodziła, z krzyżem nad głową, którego wiernym byłeś wyznawcą!

Pierwszego dnia księżycowego, 197 godzin po wsch. słońca. Mare Imbrium, 11° zach. dł., 17°21' pn. szer. księżycowej.

Nareszcie mogę zebrać myśli! Co za straszliwy, bezlitośnie długi dzień, co za straszliwe słońce, zionące ogniem blisko od dwustu godzin z tego bezdennego, czarnego nieba! Dwadzieścia godzin upłynęło już od południa, a ono stoi jeszcze prawie prostopadle nad naszymi głowami wśród tumanu nieprzyćmionych gwiazd, obok czarnego kręgu Ziemi w nowiu, obrębnego płomienną obrączką nasyconej światłem atmosfery. Dziwne jest to niebo nad nami! Wszystko się dokoła nas zmieniło i tylko konstelacje gwiazd są te same, któreśmy ze Ziemi widzieli, ale tu, gdzie powietrze wzrokowi nie przeszkadza, widno⁶ tych gwiazd bez porównania więcej. Cały firmament zdaje się być zasianym nimi jak piaskiem. Gwiazdy podwójne błyszczą jak kolorowe punkty, zielone, czerwone lub sine, nie zlewając się w kolor biały, jak na Ziemi. Przy tym

⁵ ze Ziemi – dziś: z Ziemi. [przypis edytorski]

⁶ widno – dziś w tym znaczeniu: widać. [przypis edytorski]

tu niebo, pozbawione barwnego tła powietrza, nie jest gładką wydrążoną kopułą; czuje się owszem jego głębię niezmierną; nie potrzeba obliczeń, aby poznać, która gwiazda jest dalej, a która bliżej. Patrząc na Wielki Wóz, czuję olbrzymie odsunięcie w głąb niektórych jego gwiazd w porównaniu z innymi, bliższymi, podczas gdy na Ziemi wyglądał jak siedem ćwieków, wbitych w gładki strop. Droga Mleczna nie jest tu smugą, lecz bryłowatym węzłem, wijącym się przez czarne otchłanie. Mam takie wrażenie, jakbym spojrzął na niebo przez stereoskop jakiś cudowny.

A co najdziwniejsza, to słońce wśród gwiazd, płomienne, straszne, a niezaćmiewające ani najlichszego ze światel niebieskich...

Upał jest straszliwy; skały, zda się, wkrótce zaczną topnieć i rozpływać się jak lód na naszych rzekach w piękne dniemarcowe. Tyle godzin tęskniliśmy do słońca i ciepła, a teraz musieliśmy uciec przed nim, aby zachować życie. Stoimy od kilkunastu godzin na dnie głębokiej szczeliny, ciągnącej się od stóp poszarpanych turni *Eratosthenesa* wzdłuż *Apeninu* w głąb *Morza Dżdżów*. Tutaj dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią, znaleźliśmy cień i trochę chłodu...

Ukrywszy się tu, spaliśmy, obezwładnieni znużeniem, przez kilkanaście godzin bez przerwy. Zdawało mi się we śnie, że jestem jeszcze na Ziemi, w jakichś gajach zielonych i chłodnych, gdzie po świeżej murawie szemrał rozlany przezczysty potok. Po błękitnym niebie szły białe obłoki, słyszałem śpiew ptaków i

brzęczenie owadów, i głos ludzi wracających z pola.

Obudziło mnie szczekanie Seleny, dopominającej się jadła.

Otwarłem oczy, ale rozmarzony snem, nie mogłem długo pojąć, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, i co znaczy ten zamknięty wóz, w którym się znajdujemy, co znaczą te skały wokoło, puste i dzikie? Zrozumiałem nareszcie wszystko i niewysłowny żal chwycił mnie za piersi. Selena tymczasem, widząc, że już nie śpię, przyszła do mnie i położywszy pysk na moich kolanach, poczęła się we mnie wpatrywać swymi rozumnymi oczyma. Zdawało mi się, że widzę w tym wzroku jakiś niemy wyrzut... Pogłaskałem ją w milczeniu po głowie, a ona zaczęła skomleć żałośnie, oglądając się na szczenięta igrające swobodnie w kącie wozu. Te szczenięta, Zagraj i Leda, to jedyne istoty, które tutaj są wesołe.

A prawda! czasem jeszcze i Marta jest wesoła jak małe zwierzątko, ale to tylko wtedy, gdy Woodbell, wciąż niedomagający, wyciąga rękę, aby dotknąć jej ogromnych i bujnych, ciemnobrunatnych włosów. Wtedy jej smagła twarz rozjaśnia się uśmiechem, a duże jej czarne oczy płoną bezbrzeżną miłością, wpatrzone w twarz kochanka, taką męską i piękną jeszcze do niedawna, a teraz zwiędłą i strawioną przez gorączkę. Robi wszystko, aby go rozweselić, aby mu każdym ruchem, każdym spojrzeniem powiedzieć, że go kocha i przy nim jest szczęśliwa nawet tu, gdzie tak trudno być szczęśliwym. Nie mogę się powstrzymać od bolesnej zazdrości, gdy widzę, jak ona pełne, wiśniowe i takie namiętne usta przesuwają po jego wychudłej ręce,

szy i twarzy, jak całuje powieki jego zimnych stalowych oczu, a potem, wzięwszy jego głowę w dłonie, tuli ją jak małe dziecko do piersi o nieskazitelnych liniach i śpiewa mu dziwne, dla nas niezrozumiałe pieśni. Słyszał je pewnie z tych samych tak gorąco całujących ust tam, w jej rodzinnym kraju, na Malabarskim Wybrzeżu i teraz, gdy je słyszy, śnić mu się muszą rozkołysane palmy i szumy błękitnego morza... Ta kobieta przemyciła mu tu w swej duszy cały ten świat, który dla nas przepadł bezpowrotnie.

Nie zapomnę nigdy dnia, w którym ją zobaczyłem po raz pierwszy. Było to właśnie bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości, że Braun się cofa. Siedzieliśmy wszyscy czterej w Marsylii, w hotelowym pokoju, którego okna wychodziły na zatokę, i rozmawialiśmy o tym odstępstwie towarzysza, które nas wszystkich bardzo żywo obeszło.

Wtem doniesiono nam, że jakaś kobieta chce się widzieć z nami natychmiast. Wahaliśmy się jeszcze, czy ją przyjąć, gdy ona weszła sama. Ubrana była tak, jak się w południowych Indiach ubierają córki bogatych krajowców; twarz, nadzwyczaj piękna, miała wyraz na pół zalękniony, na pół stanowczy. Zerwaliśmy się wszyscy ze zdziwieniem, a Tomasz zbladł i przechyliwszy się przez stół, począł się jej bacznie przypatrywać. Ona zatrzymała się u drzwi ze spuszczoną głową.

– Marto! ty tutaj! – krzyknął wreszcie Woodbell.

Postąpiła naprzód i podniosła głowę. Na twarzy jej nie było już ani śladu wahania lub niepewności, rozlała się na niej natomiast iście południowa, namiętna miłość. Powieki opadły

jej ciężko na płomienne, czarne źrenice, usta nieco rozchylone i okrągła pełna broda wysunęły się naprzód. Wyciągnęła ręce ku Tomaszowi i odpowiedziała, patrząc mu w oczy spod spuszczonej powiek:

– Przyszłam za tobą i pójdę za tobą, choćby na Księżyc!

Woodbell był blady jak trup. Chwycił się dłońmi za głowę i jęknął raczej, niż zawołał:

– To niemożliwe!

Wtedy ona spojrzała po nas, a poznając snadź po wieku, że O'Tamor jest naszym wodzem, rzuciła mu się do nóg tak szybko, że nie miał czasu się cofnąć.

– Panie! – wołała czepiając się jego odzienia – panie, weźcie mnie ze sobą! Ja jestem kochanką tego waszego towarzysza, kocham go, wszystkom dla niego porzuciła, niechże on mnie teraz nie porzuci! Dowiedziałam się, że wam brak towarzysza, i przyjechałam aż z Indii! Weźcie mnie! ja wam kłopotu nie zrobię, sługą waszą będę! Ja jestem bogata, bardzo bogata, dam wam złota i pereł, ile zechcecie – ojciec mój był radzą w Travancore na Malabarskim Wybrzeżu i wielkie skarby zostawił! Silna też dosyć jestem, patrzcie!

To mówiąc, wyciągnęła śniade, nagie, okrągłe ramiona.

Varadol się zachnął:

– Ależ do takiej podróży trzeba przygotowania! To co innego niż podróż parowcem z Travancore do Marsylii!

Na to ona zaczęła opowiadać, jak w tajemnicy przed Tomaszem nawet odbywała te same ćwiczenia, któreśmy robili,

licząc zawsze na to, że się jej w ostatniej chwili uda nas ubłagać, byśmy ją wzięli ze sobą. Teraz tylko korzysta ze sposobności, wykonując zamiar z dawna powzięty. Wie od Tomasza, że tam, na Księżycu, śmierć może znaleźć, ale ona nie chce żyć bez niego! I znowu nas błagała.

Wtedy O'Tamor, milczący do tego czasu, zwrócił się do Tomasza z zapytaniem, czy ją chce wziąć ze sobą, a potem, gdy Woodbell, niezdolny słowa wymówić, skinął głową, położył rękę na bujnych włosach dziewczyny i rzekł powoli i z namaszczeniem:

– Pójdiesz z nami, córko. Może cię Bóg wybrał za Ewę nowemu pokoleniu, oby szczęśliwszemu niż ziemskie!

Tak mi żywo stoi ta scena w pamięci...

Ale oto Marta mnie woła. Tomasz znowu gorączkuje, trzeba mu dać chininy.

W dwie godziny później.

Żar, zamiast ustawać, wzmagą się jeszcze. Posunęliśmy się znów głębiej, aby go uniknąć. Póki nie minie, niepodobna nawet myśleć o dalszej podróży. Strach mnie przejmuję, gdy sobie przypomnę, że mamy do zrobienia blisko trzy tysiące kilometrów, nim się dostaniemy do celu... A kto nam zaręczy, że tam będzie można żyć?... Jeden O'Tamor nie wątpił, ale jego nie ma już między nami.

Drogomierz na naszym wozie wskazuje, że przebyliśmy już sto sześćdziesiąt siedem kilometrów; policzywszy czas, wypada po jednym kilometrze na godzinę. A wszak posuwaliśmy się

stosunkowo bardzo szybko.

Wyruszyliśmy w cztery godziny po wschodzie słońca, kierując się wprost ku zachodowi. Sądząc, że się znajdujemy na *Sinus Medii*, chcieliśmy się przedostać na płaszczyznę między górami *Sommering* i *Schroter*, a stamtąd, okrążywszy *Sommering* od północy i zachodu, zbliżyć się do równika i wzdłuż niego posuwać się prosto w kierunku pierścienia górskiego *Gambart* i wyższego, dalej ku zachodowi na równiku położonego *Landsberg*.

Grunt był wyjątkowo równy, prawie bez szczelin, toteż wóz posuwał się szybko. Nadzieja i ożywienie wstąpiły w nasze serca; było nam ciepło i lekko – jedynie wspomnienie O'Tamora zasępiało na chwilę naszą wesołość. Tomasz był zdrowszy, a Marta, widząc to, promieniowała radością. Zaczęliśmy na nowo snuć urocze plany. Droga wydawała nam się niedaleka, trudy niezbyt wielkie. Podziwialiśmy niesłychaną dzikość przepysznego w swej martwocie krajobrazu lub też staraliśmy się z mapą rozłożoną przed oczyma odgadywać naprzód fantastyczne widoki, które nas czekają. Varadol zaczął przypominać wszystkie badania i dowodzenia O'Tamora, według których odwrotna strona Księżyca ma być krajem bynajmniej nie pozbawionym warunków do życia, a ciekawym i wspaniałym nad wszelki wyraz. Rzeczywiście – mówiliśmy sobie – jeśli tam są takie same góry, jak te, które błyszczą się teraz w słońcu przed nami na widnokręgu, a oprócz tego jeszcze zieloność i woda, to warto, zaiste, przebyć trzysta osiemdziesiąt cztery tysiące

kilometrów, aby kraj ten zobaczyć! Rozmawialiśmy żywo, a Tomasz i Marta, przytuleni, jak zwykle, całym ciałem do siebie, snuli już różowe plany przyszłego życia w tym raj. Nawet Selena, słysząc ożywione głosy, zaczęła szczekać radośnie i skakać po całym wozie wraz z rozbawionymi szczeniętami.

Tak upłynęły trzy godziny i przebyliśmy już około trzydziestu kilometrów, gdy wtem Varadol, który z kolei stał przy sterze motoru, zatrzymał wóz. Przed nami wznosił się niewysoki, obły wał skalisty, ciągnący się od południa ku północnemu zachodowi. Wał można było przebyć z łatwością, ale chodziło o oznaczenie dokładne kierunku, w którym się mamy posuwać. W północno-zachodniej stronie wznosiły się jakieś poszarpane, niebotyczne turnie, któreśmy mieli za szczyty krateru *Sommering*. Krater ów, jak astronomowie na Ziemi tutejsze obrączkowe góry nazywają, wznosi się wprawdzie tylko na tysiąc czterysta metrów ponad okoliczną równinę, podczas gdy te turnie zdawały się nam bez porównania wyższe, ale przypisywaliśmy to łatwemu do wytłumaczenia optycznemu złudzeniu. Zresztą i to przypuszczenie było możliwe, że spadliśmy z naszym pociskiem w południowo-zachodniej części *Sinus Medii*, na płaszczyźnie otwierającej się ku szerokiemu półkolu cyrku *Flammariona*, i mamy teraz po prawej ręce krater. *Mosting* o okazałej wysokości 2300 metrów. W każdym razie należało ową górę okrążyć od północy, aby nie zmienić pierwotnego planu. Woodbell radził, aby zrobić jeszcze raz pomiary astronomiczne dla oznaczenia punktu, w którym się

znajdujemy, ale nie chcąc teraz tracić czasu, odłożyliśmy tę robotę do pory gorętszej, kiedy będziemy się musieli zatrzymać z powodu zbyt wielkiego upału.

Skierowaliśmy tedy wóz wprost ku północy. Droga stawała się coraz uciążliwszą. Grunt wznosił się z wolna w górę; tu i ówdzie spotykaliśmy szczeliny, które trzeba było wymijać, lub całe pola z litej skały, podobnej do gnejsu, zasypane luźnymi odłamkami głazów. Posuwaliśmy się coraz wolniej i z wielkim trudem. W kilku miejscach musieliśmy, przywdziawszy powietrzochrony, wyjść z wozu i torować drogę, odwalając zagradzające głazy. Błogosławiliśmy wtedy małą siłę przyciągania Księżyca, dzięki której wielkie nawet odłamy skał mogliśmy z łatwością poruszyć i usunąć. Bawiła nas nawet początkowo ta robota. Każdy z nas, poruszający ogromne bryły, wydawał się patrzącym nań olbrzymem. Nawet Marta nam pomagała. Tomasz tylko został w wozie przy sterze, zbyt był bowiem osłabiony. Ból w ranach ustał, ale gorączka wracała co chwilę.

Posuwaliśmy się tak kilkanaście kilometrów od punktu, gdzieśmy zawrócili ku północy. Mieliśmy po lewej ręce wciąż szereg drobnych i nadzwyczajnie stromych wzgórz, spoza których sterczały olbrzymie i nieprawdopodobnie przepaściste turnie. Przed nami grunt wznosił się ciągle, a z ogromnego wału, jaki tworzył, sterczał jeden ostry szczyt. Na prawo, ku wschodowi, ciągnął się jakiś łańcuch coraz to wyższych gór.

Uplłynęło już dwadzieścia cztery godziny od wschodu słońca, kiedyśmy się dostali na gładką płaszczyznę z litej skały, po

której można się było szybciej posuwać. Postanowiliśmy się tutaj zatrzymać dla odpoczynku. Przy tym dziwny układ krajobrazu coraz więcej nas niepokoił.

Byliśmy wszyscy już prawie pewni, że znajdujemy się w jakiejś innej okolicy Księżyca, a nie na *Sinus Medii*. Należało nareszcie zrobić dokładne pomiary dla oznaczenia długości i szerokości księżycowej punktu, w którym się znajdujemy.

Po krótkim posiłku wzięliśmy się zaraz do pracy. Piotr nastawił instrumenta⁷ astronomiczne. Środek tarczy ziemskiej odchylony był od zenitu o 6° ku wschodowi i 2° ku północy; znajdowaliśmy się zatem pod 6° zachodniej długości i 2° południowej szerokości księżycowej, to znaczy na krańcu *Sinus Medii*, obok krateru *Mosting*. Co do tego nie mogło być wątpliwości, pomiary były bardzo dokładne.

Postanowiliśmy tedy ruszyć dalej, nie zmieniając kierunku.

Jużeśmy mieli puścić się w drogę, gdy wtem Varadol zawołał:
– A nasza armata! zostawiliśmy armatę!

Istotnie, teraz dopiero przypomniał nam się, że armata nasza, jedyny i ostatni środek porozumienia się z mieszkańcami Ziemi, została wraz z nabojem i kulą przy grobie O'Tamora. Śmierć jego i pogrzeb tak nas w chwili wyruszenia oszołomiły, że zapomnieliśmy zabrać ze sobą tak cennej dla nas armaty. Była to strata niepowetowana, a tym dotkliwsza, że po zerwaniu telegraficznego połączenia to była ostatnia nić, która nas wiązała z Ziemią. Uczuliśmy się nagle tak bezbrzeżnie osamotnionymi,

⁷ *instrumenta* – dziś: instrumenty. [przypis edytorski]

jak gdybyśmy się o setki kilometrów oddalili w tej chwili znów od globu, który jest już od nas o setki tysięcy kilometrów oddalony.

Pierwszą myślą naszą było wrócić i zabrać zostawioną armatę. Obstawiał przy tym zwłaszcza Woodbell, utrzymując, że musimy się porozumieć z Ziemią, aby powstrzymano dalsze zamierzone wyprawy, póki nie damy znać, żeśmy znaleźli tutaj warunki do życia.

– Jeśli my mamy zginąć – mówił – po cóż mają ginąć jeszcze i inni... Wszak wiecie, że tam na Ziemi bracia Remogner są gotowi do drogi. Oczekują od nas wieści telegraficznej, ale nasz aparat nie funkcjonuje. Trzeba ich powstrzymać przynajmniej do czasu.

Jednakże niełatwo było wrócić. Przede wszystkim wobec olbrzymiej podróży, jaką mamy przed sobą, każda godzina jest dla nas droga, gdyż w razie powtarzanych zwłok zapasy żywności i powietrza mogą się wyczerpać, a wtedy bylibyśmy skazani na niechybną zgonę. I tak z powodu choroby O'Tamora musieliśmy się dość długo zatrzymać, a wiedzieliśmy, że jeszcze nieraz upał lub mróz powstrzymają nas w pochodzie na całe dziesiątki godzin. Po wtóre, któż z nas mógł zaręczyć, że trafimy do miejsca, gdzie armata została.

Varadol starał się usunąć skrupuły Tomasza.

– Wszak bracia Remognerzy – mówił – nie wyruszą w drogę, nie otrzymawszy wiadomości od nas. Zresztą nie wiadomo, czy wystrzelona kula upadnie na Ziemię w takim miejscu, gdzie ją

będzie mógł ktoś znaleźć, a zatem depesza bardzo łatwo może nie dojść do rąk, dla których będzie przeznaczona.

Przypomniała się nam i ta okoliczność, że z armaty, zbudowanej wyłącznie dla pionowego strzału, możemy korzystać tylko w bliskości środka księżycowej tarczy, gdzie Ziemia znajduje się w zenicie nad nami. Na strzał paraboliczny z innego miejsca Księżyca siła naboju nie wystarcza, a choćby wystarczyła, to nie mamy sposobu ustawienia armaty tak dokładnie, abyśmy mogli być pewni, że kula, biegnąc po linii krzywej, mimo to nie ominie swego celu, Ziemi. Tak więc powstrzymawszy jednym strzałem dalsze wyprawy, nie moglibyśmy już potem, posunąwszy się ku krawędzi widocznej z Ziemi księżycowej tarczy, przyzwać drugim strzałem nowych towarzyszy w razie znalezienia pomyślnych warunków do życia. W ten sposób bylibyśmy skazani tutaj na wieczyste osamotnienie. Tymczasem jeśli się teraz zdarzy, że bracia Remognerzy mimo wszystko przybędą, to przywiozą może ze sobą silniejszy aparat telegraficzny, i tak zyskamy towarzyszy i sposób stałego porozumiewania się z mieszkańcami Ziemi.

Te wszystkie względy przemawiały za tym, aby nie tracić czasu na poszukiwanie armaty, w istocie mało dla nas przydatnej. Po krótkiej zwłoce tedy ruszyliśmy w dalszą drogę.

Upłynęło znów dwadzieścia cztery godziny i mieliśmy już około stu trzydziestu kilometrów drogi poza sobą. Słońce stało już 28° nad horyzontem i ciepło wzmagало się ciągle. Zauważyliśmy przy tym ciekawe zjawisko. Podczas gdy ściana

wozu oświetlona słońcem była tak rozgrzana, że parzyła niemal, strona od słońca odwrócona zimna była jak lód. Uczucia mrozu doznawaliśmy także za każdym razem, gdyśmy wjechali w cień jakiegoś cypla skalnego, których coraz więcej spotykaliśmy po drodze. Powodem tych gwałtownych przejść ciepła i zimna jest tu brak atmosfery, która na Ziemi zmniejsza wprawdzie bezpośrednią siłę słonecznych promieni, ale za to ogrzewając się sama, rozprawdza ciepło równomiernie i zapobiega zbyt szybkiemu jego ubytkowi przez promieniowanie.

Z tego samego powodu każdy cień jest tutaj nocą. Światło, w atmosferze nierozproszone, dociera tylko do tych miejsc, które są wystawione na działanie słonecznych promieni. Gdyby nie refleks rozświetlonych w słońcu gór i światło Ziemi, musielibyśmy za każdym razem, gdy wjeżdżamy w cień, zapalać elektryczne latarnie.

Przebyliśmy już ową pochyłą, gładką płaszczyznę i zaczęliśmy się zwracać ku zachodowi, aby okrążyć domniemany krater *Mosting*. Droga stawała się coraz cięższa i tylko z wielkim trudem i bardzo powoli mogliśmy się posuwać naprzód.

Byliśmy w kraju górzystym i nad wszelki wyraz dzikim. Krajobraz to w niczym niepodobny do alpejskich krajobrazów na Ziemi. Tam wśród grzbietów górskich, łączących ze sobą szczyty, ciągną się doliny, wyżłobione działaniem wody przez przeciąg tysięcy lat; tutaj ani śladu tego wszystkiego. Grunt tu cały jest sfałdowany i podniesiony, pokryty mnóstwem niełączyących się ze sobą głębokich kotlin, okrągłych, o

wystających brzegach, albo też gładkimi, zupełnie luźnymi kopami, dochodzącymi nieraz do znacznej wysokości. Miejsce dolin zajmują głębokie szczeliny, ciągnące się całymi milami, podobne do cięcia olbrzymiego toporu, które w prostym kierunku rozłupało grunt i znajdujące się na nim wzgórza. Nie wątpię ani na chwilę, że są to pęknięcia zastygającej i kurczącej się skorupy Księżyca.

Natomiast nie spotkaliśmy nigdzie ani śladu działania wody, tak przepotężnej na Ziemi erozji. Sądzę też, że ten kraj nigdy nie posiadał powietrza ani wody.

Wobec tego dziwiła nas z początku obecność mnóstwa luźnych głazów, rozsypanych na skalnym podłożu. Ale w kilkadziesiąt godzin później, gdy natężenie upału doszło do granic wprost niemożliwych, przyczyna, krusząca te skały w zastępstwie wody, objawiła nam się sama. Przejeżdżaliśmy właśnie obok wysokiej skały, z kamienia nadzwyczaj podobnego do naszego marmuru, gdy wtem w naszych oczach oderwał się u jej szczytu głaz o kilkunastometrowej średnicy i runął w przepaść, rozbijając się na gruby piarg. Stało się to wszystko w straszliwej, grozą przejmującej cichości. Z powodu braku powietrza nie słyszeliśmy huku, grunt tylko pod naszym wozem zadrgał, jakby się nagle Księżyc zakołysał na swych panwiach⁸.

To wściekły ząb słońca odgryzł kawałek tego kamiennego

⁸ *panew* – część łożyska ślizgowego; obejma osi; tu: w zn. przenośnym. [przypis edytorski]

świata. Skały, ściśnione⁹ w nocy mrozem jak żelazną obręczą, podczas strasznego upału dnia rozszerzają się od strony wystawionej na działanie palących promieni. W cieniu ciągle jest chłodno; nierównomierne rozszerzanie się tedy jednolitych bloków musi powodować ich pęknięcie i kruszenie.

Tymczasem piarg ów ostry, zaścielający ogromne przestrzenie, dał nam się we znaki. Przebywaliśmy takie miejsca, gdzie za pomocą kół wóz nasz nie mógł się zgoła posuwać. Tam zakładaliśmy „łapy”, działające u wozu zupełnie jak nogi u zwierząt, i tak podrzucani nimi, przedzieraliśmy się przez złomiska głazów albo wspinaliśmy się na bystre zbocza.

Mimo licznych prób, dokonywanych na Ziemi z pociskiem zamienionym na wóz, nie mieliśmy wyobrażenia o uciążliwościach podobnej, dłużej trwającej, podróży. Jestem przekonany, że gdyby siła przyciągania Księżyca, a co za tym idzie, i ciężkość na nim była tylko o połowę większa, musielibyśmy byli zginąć wśród tych skalisk, niezdolni ruszyć się z miejsca.

Upłynęła już od wschodu słońca trzecia ziemską dobą, przez którą posunęliśmy się zaledwie o dwadzieścia kilometrów naprzód. Upał stawał się już nieznośny. W dusznym i rozpalonym powietrzu wozu, wstrząsany wciąż jego ruchami, Woodbell zapadł znów w gorączkę. Rany, otrzymane w chwili upadku pocisku na powierzchnię Księżyca, zaczęły mu znów dokuczać. Szczęście, żeśmy troje przynajmniej wyszli bez

⁹ ściśnione – dziś: ściśnięty. [przypis edytorski]

szwanku! Dreszcz zgrozy mnie przejmując na samo wspomnienie owego potwornego wstrząśnienia!

Naprzód, jeszcze w przestworzu, głuchy wybuch min umieszczonych u dołu pocisku, a mających zmniejszyć chyżość spadku, potem wysunięte jednym naciśnięciem¹⁰ guzika stalowe rusztowanie ochronne i... Nie! to się opisać nie da! Widziałem tylko w ostatniej chwili, jak Marta, przechyliwszy się na swym hamaku, przycisnęła usta do ust Tomasza. O'Tamor zawołał: „Oto jesteśmy!” – i... straciłem przytomność.

Gdym oczy otworzył, O'Tamor leżał we krwi, Woodbell we krwi, Varadol i Marta zemdleni... Z pogruchotanego rusztowania stalowego zrobiliśmy potem krzyż na grobie O'Tamora...

Chronometry nasze wskazywały dziewięćdziesiąt osiem godzin po wschodzie słońca, kiedy upadając ze znużenia i upału, spostrzeżliśmy nareszcie, że się zbliżamy do szczytu wyniosłości, na którąśmy się z takim trudem wdzierali. Przez te cztery ziemskie doby, stanowiące mało co więcej niż czwartą część „dnia” księżycowego, spaliśmy niewiele, postanowiliśmy tedy zatrzymać się jakiś czas dla odpoczynku. Woodbell zwłaszcza potrzebował snu i spokoju.

Wóz ustawiliśmy w cieniu skały, który nas chronił od upieczenia się żywcem w nieznośnych promieniach słońca, po czym ułożyliśmy się wszyscy do snu. Po dwóch godzinach obudziłem się, pokrzepiony znakomicie. Tamci jeszcze

¹⁰ *naciśnienie* – dziś: *naciśnięcie*. [przypis edytorski]

spali. Nie chcąc ich budzić, przywdziałem powietrzochron i wyszedłem sam z wozu, aby zbadać okolicę. Zaledwie wychyliłem się z cienia, doznałem uczucia, jak gdybym się dostał do wnętrza rozpalonej huty. Już nie gorąco, ale wprost żar lał się z nieba; grunt parzył mi stopy nawet przez grube podeszwy powietrzochronu. Musiałem zebrać wszystkie siły woli, aby się nie cofnąć z powrotem do wozu.

Znajdowaliśmy się w płytkiej szyi skalnej, rozdzielającej dwa kopiaste wzgórza z litego głazu i kończącej się wśród nich rodzajem przełęczy, która, o ile mogłem dostrzec z miejsca, gdzie stałem, przechodziła w płaszczyznę, występującą poza owe kopy ku zachodowi. Te kopy zasłaniały mi też widok od północy i od południa. Tylko ku wschodowi widok był rozległy na drogę, którąśmy właśnie przebyli. Patrzyłem na kamieniste pola, pełne kotlin, wyrw, szczelin i szczytów – i wprost nie wierzyłem własnym oczom, żeśmy się przez nie zdołali przedostać z naszym wielkim i ciężkim wozem.

Na Ziemi, przy sześć razy większym ciężarze, byłoby to absolutnym niepodobieństwem.

W tej chwili uczułem, że mnie ktoś trąca. Obejrzałem się: za mną stał Varadol i dawał jakieś rozpaczliwe znaki. Jak ja wyszedł z wozu w powietrzochronie, ale nie wziął ze sobą rury do mówienia, więc nie mogliśmy się porozumieć. Widziałem tylko, że był blady i czymś ogromnie zmieszany. Przypuszczałem, że Tomaszowi zrobiło się gorzej, i pędem pobiegłem do wozu. On poszedł za mną.

Zaledwie, znalazłszy się w wozie, zrzuciliśmy powietrzochrony, gdy Varadol rzekł, nachylając się ku mnie:

– Nie budź tamtych i słuchaj: stała się rzecz straszna, pomyliłem się.

– Co? – zawołałem, nie rozumiejąc jeszcze, o co mu chodzi.

– Myśmy spadli nie na *Sinus Medii*.

– Więc gdzie jesteście?

– Pod *Eratosthenesem*, na przełęczy łączącej ten krater z księżycowym *Apeninem*.

Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Wiedziałem ze zdjęć fotograficznych powierzchni Księżyca, robionych na Ziemi, że grzbiet górski, na którym się znajdujemy, urywa się niemal prostopadle ku położonej na zachodzie olbrzymiej równinie *Mare Imbrium*.

– Jakże my stąd zejdziemy! – zawołałem w przerażeniu.

– Cicho. Bóg jeden raczy wiedzieć. Moja wina. Upadliśmy na *Sinus Aestuum*. Patrz...

Tu podsunął mi mapę i kartki zapisane szeregiem cyfr.

– Czy się tylko nie mylisz? – odezwałem się.

– Tym razem nie myślę się, niestety! I tamte pomiary były dokładne, zapomniałem tylko, że wówczas Ziemia nie mogła się znajdować w zenicie ponad środkiem księżycowej tarczy. Wszak wiesz, że Księżyc podczas obrotu naokoło osi podlega małym wahaniom, tak zwanym libracjom, wskutek czego Ziemia nie wydaje się całkowicie nieruchomą na niebie, lecz zakreśla maleńką elipsę. Otóż ja zapomniałem wziąć poprawki z tego jej

wychylenia od zenitu i dlatego oznaczyłem według jej położenia fałszywie długość i szerokość księżycową punktu, w którym robiłem pomiary. Teraz możemy za to wszyscy zapłacić życiem!

– Uspokój się! – rzekłem, choć drżałem sam na całym ciele.

– Może się nam uda ocalić.

Za czym wzięliśmy się razem do sprawdzania obliczeń. Tym razem nie było zgoła wątpliwości. Po zrobieniu koniecznej poprawki okazało się, że spadliśmy na *Sinus Aestuum* pod $7^{\circ}35'$ zach. dł., a $13^{\circ}8'$ pn. szer. księżycowej. Posuwaliśmy się cały czas wzdłuż stromych wzgórz u stóp olbrzymiego *Eratosthenesa*, mając przed sobą niewielki, lecz nadzwyczajnie bystry krater bez nazwy, tkwiący już w trzonie poczynającego się tu *Apeninu*. Obecnie znajdowaliśmy się pod 11° zach. dł., a $15^{\circ}51'$ pn. szer. księżycowej.

Oznaczyliśmy sobie ten punkt na mapie Księżyca. Według mapy przełęcz, którąśmy mieli o kilkaset kroków przed sobą, wznosi się 962 m nad poziom *Mare Imbrium*.

Jest to rzecz zadziwiająca, że podczas gdy astronomowie ziemscy mogą z odległości setek tysięcy kilometrów z łatwością obliczyć wysokość każdej góry księżycowej, mierząc w teleskopie długość cienia, jaki rzuca, my, znajdując się na tej górze, musieliśmy się uciekać do pomocy mapy sporządzonej na Ziemi, aby wiedzieć, jakie jest jej wzniesienie. Brak takiej atmosfery, która by mogła być wzięta w rachubę, uniemożliwiało dokonywanie barometrycznych pomiarów wysokości. Zmiana, jakąśmy zauważyli w barometrze, zasadzała się na tym, że rtęć

w rurce opadła tak, iż się zrównała prawie z powierzchnią cieczy w naczyniu. Na tej wysokości, gdzieśmy się znajdowali, była próżnia niemal absolutna.

Tomasz i Marta zbudzili się wkrótce. Niepodobna było ukrywać przed nimi istotnego położenia. Powiedziałem im tedy jak najogłędniej, jak rzeczy stoją. Nie wywarło to na nich zbyt silnego wrażenia. Tomasz zmarszczył się tylko i przygryzł wargi, a Marta, o ile mogłem wnosić z jej zachowania się, nie zdawała sobie dobrze sprawy z grozy położenia.

– To cóż – odezwała się – zjedziemy, jakeśmy wyjechali, albo się wrócimy.

Zjedziemy, jakeśmy wyjechali! mój Boże! Wszak to, żeśmy trafili na drogę, która nas tu wywiodła, było czystym przypadkiem! A wracać się? – tyle trudów i tyle godzin straconych?...

Postanowiliśmy wreszcie udać się na ową przełęcz, aby zobaczyć, czy się z niej nie da spuścić na równinę *Mare Imbrium*. Wóz ruszył z miejsca i za kilkanaście minut znajdowaliśmy się nad przepaścią.

Ośłupieliśmy wobec widoku, który się przed nami nagle otworzył. Skąła urywała się u nóg naszych niemal prostopadle, a tam w dole, tysiąc metrów niżej, rozciągała się jak okiem zasięgnąć nieprzejrzana równina *Mare Imbrium*, z rozrzuconymi po niej z rzadka szczytami. Brak perspektywy powietrznej sprawiał, że góry, nadzwyczaj nawet odległe, rysowały się wyraźnie naszemu oku, odbijając swą niesłychaną lśniąca

białością od zupełnie czarnego tła gwiazdzistego nieba. Widok zaiste czarodziejski; na chwilę zapomnieliśmy nawet o grozie położenia.

Na widnokręgu ku północy sterczał przed nami wśród niezmierzonej płaszczyzny, jak wyspa wśród morza, majestatyczny krater *Timocharis*, oddalony od nas czterysta kilometrów, a wysoki na siedem tysięcy stóp.

Na Ziemi góry, z dala widne, przybierają z powodu nieprzeźroczystości powietrza barwę sinawobłękitną; tutaj szczyt ów wyglądał w słońcu jak do białości rozpalona stal z grubymi, czarnymi pasmami cieniów i lśniącymi się czerwono żyłami ciemniejszych skał. Nieco ku zachodowi również wyraźnie szczybiła się na niebie piła niższego odeń i więcej jeszcze oddalonego krateru *Lambert*. Od samego zachodu ograniczały widnokrąg liczne drobne wyniosłości i skały, łączące się z trzonem znacznie nam bliższego łańcucha księżycowych *Karpat*, ograniczających *Mare Imbrium* od południa.

Poza tym łańcuchem, ciągnącym się w kierunku promienia naszego widzenia, od południowego zachodu wznosiły się w dali, na niższych wzgórzach oparte, nieprawdopodobnie olbrzymie turnie *Kopernika*, jednej z największych gór Księżyca. Jeślim powiedział, że *Timocharis* błyszczał jak stal rozpalona, to nie mam już porównania na określenie światła, jakie biło z odległości setek kilometrów od owego potężnego pierścienia skał, mierzącego dziewięćdziesiąt kilometrów średnicy!

Na północnym wschodzie sterczały zza licznych wzniesień w

niezmiernej oddali same szczyty szerokiego cyrku *Archimedesesa*. Widok od wschodu i od południa mieliśmy zamknięty z jednej strony niebotycznym pasmem księżycowego *Apeninu*, z drugiej przepaścistym *Eratosthenesem*, łączącym się z *Apeninem* przełęczą, na której właśnie staliśmy.

A w tych ramach *Morze Dżdżów*. Jakąż straszną ironią wydała nam się ta nazwa, przez starych ziemskich astronomów wymyślona! Pustynia straszliwa, sucha, zimnoszara, poorana tu i owdzie potwornymi szczelinami, wydęta w lekkie, podłużne garby, ciągnące się od świetnego *Timocharisa* na widnokręgu ku *Eratosthenesowi*. Nigdzie ani śladu życia, ani odrobiny zieleni! W słońcu tylko, u stóp olbrzymich, odległych kraterów, lśniły się gdzieśgdzieś świetne, do pasm drogich kamieni podobne, żółte, czerwone i stalowosine żyły jakichś pokładów...

Patrzyliśmy przed siebie w milczeniu, nie wiedząc, jaką obrać drogę. Dostawszy się na płaszczyznę *Morza Dżdżów*, mielibyśmy przed sobą przestrzeń, po której byśmy mogli rażno się posuwać; ale w tym była cała trudność, jak się na nią dostać, jak się spuścić z owej tysiąc metrów wysokiej, prostopadłej ściany?

Po krótkiej naradzie ruszyliśmy piechotą ku południu w tej nadziei, że się nam może uda znaleźć drogę po zboczach krateru *Eratosthenesa*. Szliśmy po wąskiej płaszczyźnie, wciśniętej między skały a przepaść otwierającą się ku *Mare Imbrium*. W jednym miejscu przejście było tak wąskie, że chcieliśmy już zawrócić, zwątpiwszy, aby się nam udało tędy przedostać z wozem. Na szczęście Marta, która nam towarzyszyła,

przypomniała, że posiadamy pewien zapas min, którymi będzie można z łatwością rozsadzić niewielki zastępujący nam próg skalny. Ominęliśmy go tedy, przeciskając się ponad zawrotną przepaścią, i poszliśmy dalej. Teraz grzbiet górski, znacznie rozszerzony i płaski, podnosił się z wolna ku górze. Szliśmy wciąż ku południu; na prawo i na lewo piętrzyły się już potworne turnie pierścienia *Eratosthenesa*.

Po upływie pół godziny od chwili okrążenia owego progu stanęliśmy zatrzymani nową przepaścią, która się tak niespodziewanie otworzyła pod naszymi nogami, że Piotr, który szedł naprzód i pierwszy się wdarł na zasłaniający ją przed naszym wzrokiem próg, skoczył w tył z okrzykiem przestachu. Zaiste trudno sobie wyobrazić coś okropniejszego nad widok, jaki się roztaczał teraz przed nami.

Posuwając się wciąż w południowym kierunku, dostaliśmy się, nie wiedząc o tym, w głęboką szczyrbę, wyrżniętą już w samej grani *Eratosthenesa*. Na prawo i na lewo piętrzyły się poszarpane turnie, z których jedna lśniaco biała w słonecznym blasku, druga w cieniu całkiem niemal czarna. A przed nami... nie! któż to opisać zdoła! – przed nami otchłań! czeluść bezdenna i niewypowiedziana, coś tak potwornego, wprost tak drapieżnego w niesłychanym majestacie grozy, ogromu i martwoty, że teraz jeszcze dreszcz paraliżującej trwogi mnie przechodzi, gdy sobie o tym przypomnę!

Przed nami było wnętrze krateru *Eratosthenesa*.

Potężny wał górski, najeżony jak piła szczytami, zataczał

tu krąg zamknięty o średnicy kilkudziesięciu kilometrów, tworząc w ten sposób rozległą kotlinę, najstraszniejszą zapewne, jaką kiedykolwiek widziało ludzkie oko. Turnie, wznosząc się przeszło na cztery tysiące metrów ponad dnem tej przepaści, spadały ku niej prawie pionowo, we wściekłych jakichś podrzutach. Wyglądało to, jakby w otchłań waliły w skoku zastygłe, o iglice poszarpane kamienne kaskady. Kotlina, zagłębiona jakie dwa tysiące metrów w stosunku do poziomu oddzielonej od niej wałem równiny *Mare Imbrium*, wydawała nam się znacznie jeszcze głębszą z powodu olbrzymich gór okolicznych i grubych cieniów, które ją w całości prawie zalegały. Z dna jej sterczało kilka odosobnionych, z rzadka rozsianych stożkowych szczytów, dochodzących połowy wysokości okolicznego wału. Patrzyliśmy na nie z góry naszego kamiennego okna. Z paru z nich wybuchały co pewien czas niewielkie obłoki ciemnoszarego dymu, opadające w tej chwili z powodu braku atmosfery i rozścielające się płasko u ich podnóża jak popiół. Nie było wątpliwości, że mieliśmy jeszcze niewygasłe wulkany przed sobą.

Jaskrawe przeciwieństwa światła i cieniów wzmagały jeszcze uczucie grozy. Cały wschodni brzeg wnętrza tonął w grubym mroku, zlewając się w jedną tajemniczą i ciemną oponę z czarnym niebem u góry; brzeg zachodni za to iskrzył się w słońcu białą ścianą, porysowaną ciemnymi żlebami i zjeżoną mnóstwem nieprawdopodobnych iglic, jak gdyby kościanych wieżyc, widniejących na tle czarnych plam cienia. Od południa

wał z powodu odległości wydawał się niższy i był podobny do najeżonej kolcami bramy tej straszliwej czeluści. U stóp naszych – zawrotna przepaść.

A nad tym wszystkim, po czarnym, niemigotliwym gwiazdami zasianym niebie szło ogniste bezpromienne słońce, coraz bliższe Ziemi, która lśniła trupim blaskiem, wygięta w wąski, ostry sierp, zawieszony nad tym padołem jakby znak śmierci.

Mimo woli w uszach zaszumiały mi słowa Danta:

Vero é che in su la proda mi trovai
Della valle d'abisso dolorosa...

I na przypomnienie tych słów w mózgu moim, osłabłym ze znużenia, upału i przestraszenia, zaczęła się budzić wizja dantejskiego piekła, które zaiste nie mogło być straszliwszym od tego, co miałem przed oczyma! Poruszające się na dnie olbrzymiego kotła dymy zdały mi się korowodami potępieńczych duchów, wirujących około potwornej postaci Lucyfera, którego kształty przybrał w mych oczach jeden z wulkanicznych stożków... Pełno duchów, straszna procesja potępieńców. Snują się wszędzie, po skalistych stokach czeluści płyną ogromną falą, zsuwają się w głąb żlebami, przewalają się, kotłują, cisną. Niektóre chcą się wznieść w górę, na świat, na słońce – odrywają się od dna całymi chmurami i opadają znowu jak ołowiane pary na miejsce wieczystej kaźni...

A wszystko odbywa się w takiej strasznej, dreszczem przejmującej głuszy...

Świat zaczął mi w głowie wirować; czułem, że jestem bliski utraty przytomności.

Wtem doleciał mnie płacz. Byłem tak oszołomiony, iż w pierwszej chwili sądziłem, że istotnie słyszę głos potępieńców... Ale tym razem nie była to wizja. Rzeczywiście słyhać było płacz przez rurę, łączącą głowy naszych powietrzochronów.

Oprzytomniałem nieco i spojrzałem dokoła. Woodbell, oparty plecami o skałę, stał blady ze spuszczoną głową; Varadol, podobny z ruchów do dzikiego zwierza na uwięzi, chodził niespokojnie, o ile mu grunt i długość rury na to pozwalały, i rozglądał się, jak gdyby szukał wśród tych turni drogi i wyjścia. Marta klęczała na ziemi z czołem przy kolanach i trzęsa się od łkania, przestkach i najwyższym podrażnieniem nerwów wywołanego.

Niezmierną litością zdjęty, zbliżyłem się ku niej i oparłem z wolna dłoń na jej ramieniu. Wtedy ona z jakąś dziecięcą skargą zaczęła wołać, jak w ową pamiętną długą noc przed śmiercią O'Tamora:

– Na Ziemię! Na Ziemię!

Taka głęboka, przejmująca rozpacz była w jej głosie, że nie mogłem znaleźć słowa, aby ją pocieszyć. Zresztą jak to zrobić? – położenie nasze było istotnie rozpaczliwe. Zwróciłem się do Varadola:

– Co teraz będzie?

Piotr ruszył ramionami.

– Nie wiem... śmierć. Wszak stąd zejść niepodobna.

– A gdyby wrócić – wtrąciłem.

– O tak! wrócić, wrócić! – łkała Marta.

Varadol zdawał się płaczu jej nie słyszeć. Patrzył przez chwilę przed siebie, a potem odpowiedział, zwracając się do mnie:

– Wrócić... chyba po to, aby straciwszy wiele drogiego czasu, spotkać na innej drodze podobną znów do tej przeszkodę. Patrz! – tu odwrócił się twarzą ku północy i wskazał okiem nieprzejrzaną równinę *Mare Imbrium*, leżącą poza nami – gdybyśmy się mogli tam dostać, mielibyśmy względnie równą drogę przed sobą, ale tam się nie dostaniemy... Chyba na łeb...

Spojrzałem we wskazanym kierunku. *Morze Dżdżów*, gładkie, oświetlone słońcem, wydało mi się rajem, zwłaszcza w porównaniu ze strasznym wnętrzem *Eratosthenesa*. Poczynąło się tuż prawie u naszych stóp, zda się, tak bliskie, że dość skoczyć, aby się tam znaleźć. Dzieliło nas jednak od upragnionej równiny tysiąc metrów pionowej skały nie do przebycia!

Zbiliśmy się wszyscy w kupkę i poczęliśmy patrzeć z niewypowiedzianym pożądaniem na tę przestrzeń, mogącą nas zbawić. Nie czuliśmy znużenia ani gryzących promieni słońca, które już połową tarczy wyjrzało zza krawędzi skalnej nad nami.

Po chwili Piotr powtórzył:

– Tam się nie dostaniemy...

Odpowiedział mu głośny, spazmatyczny płacz Marty, która niezdolna już była panować nad sobą.

Varadol zachnął się niecierpliwie:

– Milcz! – krzyknął chwytając ją za ramię – bo cię stąd strącę!

Dość mamy kłopotu!

Wtedy nagle Tomasz wysunął się naprzód:

– Daj pokój... i ty nie płacz; dostaniemy się na *Mare Imbrium*.

Wracajmy po wóz.

Tyle było stanowczości i pewności siebie w tych spokojnie, choć dobitnie powiedzianych słowach, że zwróciliśmy się na miejscu, aby wykonać rozkaz, nie śmiejąc sprzeciwić się ani pytać.

Woodbell nas jeszcze zatrzymał.

– Patrzcie – mówił wskazując zewnętrzne, ku *Morzu Dżdżów* opadające stoki *Eratosthenesa* – widzicie tę grań, tu o pięćdziesiąt metrów niżej poczynającą się u stóp urwistej ściany? O ile można stąd ocenić, opada dość łagodnie aż ku płaszczyźnie; tędy zdołamy zjechać na dół...

– Ale ta ściana... – szepnąłem mimo woli, poglądając¹¹ na prostopadle urwaną skałę, która nas dzieliła od rozłożystego grzbietu grani, poprzednio niedostrzeżonej.

– Głupstwo! jesteśmy przecież wprawni w spinaniu¹² się po skałach! obejdziemy ją bokiem z łatwością. A wóz? ... wóz zepchniemy naprzód, uwiązawszy go na linach. Nie zapominajcie, że jesteśmy na Księżycu, gdzie ciała są sześć razy lżejsze, a spadek z wysokości pięćdziesięciu metrów znaczy tyle,

¹¹ *poglądać* – dziś: spoglądać. [przypis edytorski]

¹² *spinąć się* – dziś w tym znaczeniu: wspinać się. [przypis edytorski]

co z wysokości ośmiu na Ziemi!

Uczyniliśmy według rady Tomaszowej.

W sto dziewięć godzin po wschodzie słońca poczęliśmy zjeżdżać po stromym zboczu *Eratosthenesa*, aby się dostać na *Mare Imbrium*. Prawie całe trzy ziemskie doby trwało owo spuszczenie się w dolinę, tuż u naszych stóp leżącą. Większą część drogi przebyliśmy pieszo, prażeni nietościami, coraz więcej prostopadłymi promieniami słońca, upadając ze znużenia i wysiłku.

Wóz wypadło istotnie stoczyć na linach w przepaść z wysokości kilkudziesięciu metrów. Jemu to nie zaszkodziło, ale psy zamknięte w nim potłukły się mocno, mimo wszelkich z naszej strony ostrożności. Parę razy zatrzymywaliśmy się, straciwszy całkowicie nadzieję, aby się nam udało z życiem zejść w dolinę. Grań nie była drogą tak wygodną, jak nam się to z góry i z dala wydawało. Poprzerywana piętrami i rozpadlinami, zmuszała nas do nawrotów i okrążeń, tym trudniejszych, że wszędzie musieliśmy wóz wlec za sobą albo spuszczać go naprzód po linach. Często rozpacz nas ogarniała. Wtedy Woodbell, choć osłabiony gorączką i ranami, okazywał najwięcej przytomności i siły woli. Jeżeli żyjemy i żyć będziemy, jemu to mamy do zawdzięczenia.

Przez te trzy doby, nie wiem, czyśmy spali więcej niż dwanaście godzin, wyszukując za każdym razem miejsca jak najwięcej zacienione, aby się uchronić od upieczenia żywcem w promieniach słońca. Chwilami upał odbierał nam wprost

przytomność.

Było właśnie księżycowe południe i słońce stało prostopadle nad naszymi głowami obok czarnej kuli Ziemi w nowiu, otoczonej krwawą obwódką nasyconej światłem atmosfery, kiedyśmy wyczerpani do ostatnich granic stanęli wreszcie na płaszczyźnie.

Upał był tak potworny, że dech nam w piersiach zapierało, a krew przysłaśniała oczy i waliła w skroniach młotami. Już i cień nie dawał ochrony! rozżarzone skały zionęły zewsząd ogniem jak czeluść hutniczego pieca.

Selena ziajała gwałtownie z wywieszonym językiem, szczenięta skomliły żałośnie rozciągnięte bez ruchu w kącie wozu. Z nas co chwilę ktoś popadał w omdlenie; zdawało się, że śmierć nas spotka u wstępu do tak upragnionej równiny!

Trzeba było uciekać przed słońcem – ale dokąd?

Wtedy Marta przypomniała, żeśmy schodząc z góry, widzieli głęboką szczelinę, którą snadź teraz nierówności gruntu zasłaniają przed nami. Ruszyliśmy tedy we wskazanym kierunku i istotnie po godzinie szybkiej jazdy, która się nam rokiem wydała, natrafiliśmy na ową szczelinę. Jest to wądół o pionowych ścianach, utworzony przez pęknięcie skorupy księżycowej, do tysiąca metrów głęboki, a na paręset szeroki, zresztą w niczym niepodobny do ziemskich wąwozów i jarów.

Ciągnie się, o ile możemy stąd ocenić, dziesiątki kilometrów równoległe do pasma *Apeninu*. Na mapach Księżycy nie jest naznaczony; uszedł zapewne uwagi astronomów z powodu cienia,

w jakim prawie zawsze musi być pogrążony, leżąc w bliskości wysokich gór.

Dla nas ta szczelina stała się ocaleniem. Natrafiwszy na miejsce, w którym się poczyna, zjechaliśmy bystro w jej głąb i tu dopiero, tysiąc metrów pod powierzchnią *Mare Imbrium*, znaleźliśmy trochę chłodu...

Sen pokrzepił nas znakomicie. Tomasz tylko, którego trzymała dotąd żelazna siła woli, zapadł znów w gorączkę. Jest tak osłabiony, że ruszać się nie może. Mimo to za jakie dwadzieścia godzin puścimy się w dalszą drogę. Słońce poczyna się od zenitu przechylać ku zachodowi. Tam na równinie upał musi być wciąż jeszcze straszliwy, ale w każdym razie nie taki, jak przed kilkudziesięciu godzinami. Zresztą my po odpoczynku łatwiej go znieść zdołamy.

Po głębokiej rozwadze zmieniliśmy plan podróży. Zamiast na zachód zwrócimy się wprost na północ, ku biegunowi Księżyca. Zyskujemy na tym podwójnie. Przede wszystkim mamy przed sobą przeszło tysiąc kilometrów względnie równej i dobrej drogi przez płaszczyznę *Mare Imbrium*, co przyspieszy znacznie podróż. Po wtóre, zbliżając się ku biegunowi, dostajemy się w okolice, gdzie słońce nie stoi we dnie tak wysoko nad horyzontem ani tak głęboko w nocy pod horyzont nie zapada; spodziewamy się więc spotkać tam znośniejszą temperaturę. Jedno bowiem jeszcze takie południe jak dzisiaj, a śmierć nasza byłaby nieuchronna.

Na Mare Imbrium, 340 godzin po wschodzie słońca.

Dzień się już ma ku schyłkowi. Wkrótce, za czternaście i pół godziny, zajdzie słońce, które teraz stoi nad dalekimi obłymi wzgórzami na zachodzie, wzniesione zaledwie kilka stopni ponad horyzont. Wszystkie nierówności terenu, każdy głąz, każda mała wyniosłość – rzucają długie, nieruchome cienie, krające w jednym kierunku tę olbrzymią płaszczyznę, na której się znajdujemy. Jak okiem zasięgnąć – nic, tylko pustynia bezbrzeżna, śmiertelna, zorana w długie, kamienne skiby z południa ku północy, po których na poprzek czernią się owe pasy cieniów... Daleko, daleko na widnokręgu sterczą najwyższe iglice szczytów widzianych z *Eratosthenesa*, a teraz kulistością księżycowej bryły przed nami u podstawy zasłoniętych.

W miarę jak się oddalamy od równika, szklana Ziemia nad nami przechyla się od zenitu ku południu. Dopełnia się teraz do pierwszej kwadry i świeci jasno – jak siedem Księżyców w pełni. Tam, gdzie słabnący blask słońca nie dochodzi, srebrzy się jej upiorna poświata. Mamy dwa światła niebieskie, z których jedno, silniejsze, wydaje się przez kontrast żółte, a drugie sine. Cały świat jest na poły jaskrawożółty i na poły szarosiny. Gdy spojrzę na wschód, żółci się pustynia i żółcą się odległe szczyty *Apeninu* księżycowego; od zachodu, pod brylantowe słońce, wszystko jest zimne, sine i mroczne. A nad dwubarwną pustynią ciągle to niebo z czarnego aksamitu, pełne różnokolorowych, drogocennych kamieni, zadęte bajecznym tumanem drobnego złotego piasku...

Noc się przybliżyła. Wysłała już swego zwiastuna, jedyne,

jaki jej pozostał na tym świecie pozbawionym zmierzchu i wieczornej zorzy... Chłód idzie przed nią po pustyni, przysiadła w każdej szczelinie, w każdym cieniu, i czeka cierpliwie, rychło żółwie słońce szczołga się z firmamentu i ześlizgnie z pustyni, pozostawiając jemu i nocy samowładne królowanie...

Póki jesteśmy w pełnym blasku, nie domyślamy się nawet jeszcze obecności tego przybysza, ale w cieniu przejmuje nasze rozgrzane ciała lekki dreszcz, mówiący o jego bliskości...

W zamkniętym naszym wozie nie jest już tak duszno i wszystkim nam jakoś rześziej i weselej. Varadol pełen nadziei snuje znów plany lub bawi się ze suką¹³ i szczeniętami; Woodbell jest znacznie zdrowszy, rozmawia teraz z Martą, stojąc przy sterze. Gdy podniosę nieco wzrok od papieru, widzę ich dwoje. Martę zwłaszcza widzę wyraźnie. Jest do mnie bokiem zwrócona i śmieje się teraz. Dziwnie się śmieje. Usta jej przybierają taki kształt, jak gdyby całowały powietrze. Tego uśmiechu pełne ma oczy i pełną pierś, która się wznosi drobnymi, szybkimi ruchami. Podczas upału dnia pierś miała odsłoniętą, za gorąco było nawet dla niej, którą opaliło indyjskie słońce. Teraz okryła się pod szyję. Nie wiem, dlaczego szukam mimo woli wciąż oczyma tej przepysznej, smagłej a tak ciepłej w kolorycie piersi i dziwnie mi czegoś brakuje, gdy jej nie widzę. Niepotrzebnie myślę tak wiele o tej kobiecie, ale jej tu jest naprawdę pełno. Od czasu jak śmierć oddaliła się nieco od naszego wozu, cała jego szczupła atmosfera jest nią przesiąknięta. Nawet Varadol niby igra z psami, a wiem,

¹³ ze suką – dziś: z suką. [przypis edytorski]

że patrzy na nią ukradkiem. Gniewa mnie to. Czemu Tomasz nie zwraca na to uwagi? A zresztą – cóż mnie to obchodzi...

Już przeszło od sześćdziesięciu godzin jesteśmy w drodze. Wóz posuwa się ciągle. Śpimy na zmianę podczas jego ruchu i teraz podczas ruchu piszę. Zatrzymaliśmy się tylko trochę, aby nabić na nowo akumulatory naszego motoru elektrycznego. Dla oszczędności paliwa, którego będziemy w nocnym mrozie wiele potrzebowali, puściliśmy maszynę w ruch za pomocą rozprężającego się zgęszczonego powietrza. Akumulatory musimy nabijać, bo same baterie przy szybkiej jeździe nie wystarczają.

A posuwamy się ciągle szybko naprzód, o ile tylko teren na to pozwala. Znaczne nierówności gruntu nie pozwoliły nam wziąć się¹⁴ od razu ku północy po wydostaniu się ze *Szczeliny Zbawienia*. (Tak nazwaliśmy ów wądoł pod *Eratosthenesem*, gdyż zbawił nas istotnie chłodem od śmierci). Pod 12° zach. dł. natrafiliśmy na jedną z owych smug świetlnych, które jak promienie rozchodzą się od góry *Kopernika* na setki kilometrów naokoło. Smugi te, w słabszych nawet teleskopach ziemskich dokładnie widoczne, zadziwiały zawsze astronomów. Są to, jakeśmy się przekonali naocznie, kilkanaście kilometrów szerokie pasy na szkliwo stopionej skały. Nie umiem sobie wytłumaczyć powstania tych dziwnych utworów...

W ogóle wiele tu jest dla nas zagadką nawet z tych rzeczy, które niemal dotykamy rękami. Jak powstała owa płaszczyzna,

¹⁴ wziąć się – tu: skierować się; zwrócić się. [przypis edytorski]

wśród której się znajdujemy, jak powstały te pierścienie górskie o kilkudziesięciu, a nieraz i kilkuset kilometrach średnicy i wale wzniesionym na kilka tysięcy metrów? To pewna, że nie są to wygasłe kratery wulkanów, jak niegdyś na Ziemi sądzono. Zajrzeliśmy do wnętrza *Eratosthenesa* i widzieliśmy tam wulkaniczne stożki, nieróżniące się niczym od ziemskich wulkanów, ale sam ten okrągły pierścień zaiste nie był kraterem nigdy! Przemawia przeciw temu – pomijając jego potworne rozmiary – i rodzaj skały, z której wał jest utworzony, i zakłębienie dna poniżej powierzchni otaczających go równin, i wiele innych rzeczy, które mieliśmy sposobność stwierdzić własnymi oczyma.

Zdaje się, że aby zrozumieć te zadziwiające formacje, trzeba się cofnąć myślą do zamierzchłych okresów, kiedy Księżyc był jeszcze płynną, rozpaloną kulą, zastygającą dopiero na powierzchni w zimnych przestworach międzygwiaździstych¹⁵. Wtedy to potworne, wprost siłę ludzkiej wyobraźni przechodzące wybuchy gazów, pochłoniętych przez płynną masę, a teraz podczas jej stygnięcia wydzielanych, wydymały jego jeszcze podatną powierzchnię i tworzyły jakby olbrzymie bąble i bańki. Bąble te, pękając, zastygały równocześnie, nim spływały całkowicie w otaczającą je równinę. Jako ich ślad pozostały właśnie te obrączkowe góry. Słońce poprzegryzało w nich potem szczyty, poszczerbiło je i poszarpało; siły wulkaniczne wysadziły we wnętrzu niektórych z nich stożkowe

¹⁵ międzygwiaździsty – dziś: międzygwiezdny. [przypis edytorski]

kratery – i oto jakie są dzisiaj, nie zniszczone wszystko niwelującą na Ziemi wodą, świadczące o twórczej potędze we wszechświecie, dla której planetarne bryły i słońce ogniste kule są tylko posłusznym materiałem w olbrzymim tyglu wieczystego stawania się.

Tak żywo o tym wszystkim mówią mi wielkie góry i drobne, często po drodze spotykane, a na ich podobieństwo utworzone kotlinki, że gdy się wpatrzę w otaczający mnie krajobraz, to mi się zdaje chwilami, że te od słońca jaskrawożółte głązy to masa jeszcze żarząca się, płynna i niemal żywa; zdaje mi się, że wnet pocznie płaszczyzna cała jak morze falować, giąć się i wzdymać, rósć, pęcznić i pod parciem wewnętrznych gazów bryzgać ku czarnemu niebu pierwotną lawą, tężejącą w góry pierścienne a olbrzymie.

A ileż to setek tysięcy wieków od owych czasów minęło! Skorupa Księżyca zastygła i popękała, kurcząc się ciągle; jakieś tajemnicze siły ogniowe powypalały w niej ogromne promienne smugi zeszkłonego kamienia i tu, gdzie niegdyś hasały rozpętane, zmagające się twórcze siły, cisza jest teraz i martwota tak straszliwa i ostateczna, że nas aż dziwi i wstydzi wśród niej własne życie...

Do tej chwili posuwamy się ciągle po owej jasnej smudze, utworzonej przez żyłą szkliwa idącą od *Kopernika*. Stanowi ona dla nas wygodną i równą drogę. Kierunek jej północno-wschodni jest nam bardzo na rękę, gdyż zawiedzie nas prosto na płaszczyznę między *Archimedesem* a *Timocharisem* którą

przebyć nam trzeba. *Archimedeses* nie widno¹⁶ wcale teraz, gdy jesteśmy na płaszczyźnie. W stronie, gdzie się powinien znajdować, stoją tylko przed nami drobne, strome wyniosłości, podobne do górzystej wysepki wśród morza. Jest to zapewne grupa „kraterów”, wznosząca się pod 11° zach. dł., a 19° pn. szer. księżycowej. Spodziewamy się wyminąć ją przed zachodem słońca. A potem na północ, wciąż na północ, byle dalej od tej straszliwej strefy, gdzie obok złowieszczonego sierpa Ziemi wprost nad głowami wspina się w zenicie zabójcze słońce jak rumak rozszalały, ognisty i wściekły. O! bo to nie jest nasze ziemskie, życiodajne słońce, ta leniwa kula biała i bezpromienna! – to jakiś bóg zachłanny i szydery, bóg niszczyciel i pożerca! A nas czworo to jedyne żywe ofiary, jakie sobie upatrzył na tej płaszczyźnie śmierci! Musimy mu ująć, nim po raz drugi wypłyne na czarny, złotem wyszyty całun firmamentu.

Przerywam pisanie. Varadol, który zluzował Tomasza, woła od motoru, że na mnie teraz kolej stanąć przy sterze wozu. Tamci już śpią. Marta, jak zwykle, z hamaku swego wychylona, z głową na piersi tego – jedyne go wśród nas szczęśliwego człowieka!

Pierwszego dnia księżycowego, 4 godziny po zach. słońca, na Mare Imbrium 10° zach. dł., 20°28' pn. szer. księż.

Już się tedy zaczęła noc, długa – dla której ziemskie doby są cząstkami mniejszymi niż godziny dla ziemskiej nocy. Ziemia, przechylająca się wciąż ku południu, świeci nad nami jak wielki jasny zegar. Z posuwania się cienia po jej tarczy

¹⁶ *nie widno* – dziś: nie widać. [przypis edytorski]

możemy z łatwością oznaczyć porę. Była o zachodzie w pierwszej kwadrze, o północy będzie w pełni i znów będzie w kwadrze o wschodzie słońca. Rolę minutowej wskazówki na tym niebieskim zegarze odgrywają części świata. Po zachodzeniu ich w cień możemy poznać godziny, które są jakby minutami dla naszej siedemsetdziewięciogodzinnej doby.

Po zachodzie słońca zrobiło się zimno tak nagle, że doznaliśmy uczucia, jakbyśmy z łaźni parowej skoczyli wprost do basenu z lodowatą wodą. Zachód słońca zgotował nam wspaniałą niespodziankę: oczekiwaliśmy po nim natychmiastowej nocy, a tymczasem długi czas trwało jeszcze dziwne jaśnienie, kłójące się z blaskiem Ziemi, a podobne nieco do naszych zmierzchów.

Skończyła się była właśnie owa smuga szkliva, która nas wiodła przeszło sto kilometrów, kiedyśmy wyjechali z cienia drobnych kraterów, o których wspominałem poprzednio. Zbliżaliśmy się już do dwudziestego równoleżnika, posuwając się teraz wprost ku północy, kiedy tarcza słoneczna, niezarusziona zachodem, owszem, jasna i błyszcząca jak we dnie, poczęła się powoli pogrążyć pod horyzont. Ogarnęła nas nagle straszna tęsknota za tym znikającym słońcem, które się nam ukaże znowu dopiero za czternaście dni. Stanęliśmy wszyscy obok siebie przy zachodnim oknie naszego wozu. Marta zwróciła na płask dłonie ku zapadającej gwiazdzie dnia i poczęła śpiewnym a monotonnym głosem odmawiać indyjskie hymny, którymi fakirzy żegnają na Ziemi tego jasnego boga.

Woodbell odpowiadał jej czasem jakimiś niezrozumiałymi

zdaniem z świętych ksiąg, przypominając sobie zapewne podobne chwile spędzone w Travancore, kiedy słońce płomienne tonęło w bezbrzeżnym oceanie.

Słońce tymczasem, zagłębione częstką tarczy, zdawało się stać na widnokręgu i czekać. Blask jego rozświetlił wyciągnięte dłonie dziewczyny i iskrzył się na jej białych zębach widocznych wśród rozchylających się purpurowych warg. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że oni rozmawiają oboje – ta dziewczyna i to słońce.

Za pół godziny już tylko rąbek słonecznej tarczy był widoczny. Kamienna pustynia szerniała popod ten skrawek białej jasności, jak gdyby się zamieniła w morze atramentu. Tu i ówdzie tylko lśniły gładkie głązy, odbijające sine światło Ziemi. Marta skończyła już hymny i stała wpatrzona w pustynię, z głową opartą o ramię Tomasza.

Wszystkich nas ogarnął dziwny smutek; nawet Piotr, najmniej do wzruszeń skłonny, zasepił się i poruszał wargami, jakby odpowiadając z cicha jakimś myślom czy wspomnieniom. A ja... Hej! jakże szalenie szybko przemknęło to moje życie na Ziemi. Dziwny taniec widm i wspomnień miałem na oczach: śniły mi się nadwiślańskie równiny i chmurne turnie Tatr – a wszystko zaludnione takim nieprzeliczonym orszakiem znajomych, drogich, a pożegnanych już na wieki... Na wieki!...

Wtem słońce nagle zagasło. Czerwone protuberancje, jak drobne, ogniste języki, drgały jeszcze przez chwilę nad horyzontem, wreszcie znikły i one – a w nagle spadającym na

pustynię zmroku było coś tak niespodziewanego, że mimo woli przycisnęliśmy się do siebie, jak gdyby chcąc się ochronić przed czymś, co się na nas rzuca jak szary żbik na przechodnia. Ale był to tylko zmrok, nie noc. W tejże bowiem chwili, gdy ostatni rąbek słońca zatonął, wystrzelił na zachodzie słup jasności, zasklepiony na kształt kopuły, a podobny do bajecznej fontanny świetlanego pyłu.

Światło zodiakalne lśniło przed nami w takiej niesłychanej wspaniałości, w jakiej go na Ziemi nigdy ludzkie oczy nie widziały. Patrzyliśmy długo w oniemieniu na ten słup roziskrzony, lekko od pionu ku południu się przechylający i zasiany różnokolorowymi gwiazdami, przezierającymi przez ten kosmiczny pył, krążący dokoła słońca i teraz po jego zachodzie odbijający nam w twarz jego światło.

Teraz zgasło już wszystko i tylko Ziemia świeci nad nami i gwiazdy, dziwne gwiazdy, w czarne niebo wgłębione, niemigotliwe i różnobarwne. Ta różnokolorowość gwiazd nieprzyćmionych powietrzem, którego tu nie ma, jest tak zastanawiająca, że nie mogę do tego przywyknąć, choć przecież świeciły nade mną przez przeciąg całego długiego dnia księżycowego.

Ziemia posyła nam tyle światła, że możemy przy jej blasku odbywać podróż bez przerwy. Bardzo to dla nas pomyślna okoliczność, gdyż nie potrzebujemy tracić czasu i możemy się przez noc posunąć tak daleko na północ, że nie będziemy już narażeni podczas drugiego dnia na prostopadłe promienie słońca.

Strachem nas tylko przejmuje myśl o nocnym mrozie, który już dobrze chwyta.

Grunt znowu jest nierówny, co nas zmusza do licznych zbroceń i wykrętów opóźniających podróz. Na przodzie wozu zapaliliśmy elektryczną latarnię oświetlającą nam drogę. Gdyby nie to, moglibyśmy łatwo wpaść w jaką szczelinę, nie dość jasno widoczną przy mdłym świetle Ziemi. Kierujemy się według gwiazd, gdyż z kompasem nie możemy trafić jakoś do ładu na tym dziwnym świecie. Przy tym metalowe ściany wozu zmieniają położenie igły.

Na Mare Imbrium, 7°45' zach. dł., 24°1' pn. szer. księż. o pierwszej godzinie drugiej księżycowej doby.

Minęła już północ i zapomnieliśmy nawet, jak słońce wygląda; nie możemy pojąć, jak mogliśmy się skarżyć na jego żar. Blisko od stu osiemdziesięciu godzin, które upłynęły od zachodu, jesteśmy narażeni na mróz tak niesłychany, iż zdaje się, że myśl zamarza w mózgu. Nasze piece pracują całą siłą, a my, skuleni obok nich, trzęsiemy się od zimna. Pisząc, oparłem się o piec. Skóra piecze mi się na plecach, a równocześnie czuję, jak krew we mnie od mrozu zastyga i krzepnie. Psy cisną nam się na kolana i wyją bez ustanku – a nas obłęd już napada. Patrzymy na siebie w milczeniu z jakąś dziwną nienawiścią, jak gdyby które z nas było temu winne, że tu słońce przez trzysta pięćdziesiąt cztery i pół godziny nie świeci i nie grzeje...

Chciałem się przemóc i zanotować kilka wrażeń z odbytej po zachodzie słońca podróży, ale widzę, że nie jestem zdolny

do skojarzenia najprostszych wyobrażeń. Mózg mam zamrożony, niepodatny, jakby był maszyną z lodu. Przez myśl przesuują mi się na przemian luźne obrazy i jakieś rozpaczliwe błyski, których nie mogę w żaden sposób powiązać ze sobą. Niekiedy doznaję uczucia, jak gdybym spał na jawie. Widzę Martę, Tomasza, psy, Piotra, piec – i nie wiem zupełnie, co to znaczy, nie wiem, kto ja jestem, skąd się tu wzięłem, po co...

Istotnie, po co?

Chciałem się nad tym zastanowić, przypomnieć sobie, ale nie mogę. Musiała być jakaś przyczyna, dla której opuściłem z tymi ludźmi Ziemię... Nie pamiętam. Nuży mię¹⁷ myślenie.

Zdaje mi się, że stoimy. Nie słyszę syczenia motoru. Trzeba iść i zobaczyć, co się stało, ale wiem, że ani ja, ani oni nikt tego nie zrobi. Musielibyśmy się oddalić od pieca.

Co za ohydny mróz!

Widzę przez okno jakieś skały, które Ziemia oświetla jasno. Pewnie dlatego stoimy, że jesteśmy wśród skał... To jest wszystko dziwne i wszystko obojętne...

Co ja piszę? Czyżbym już rzeczywiście dostawał obłądu? Senny jestem straszliwie, a wiem, że jak usnę, zamarznę i już się nie obudzę... Trzeba się otrząść¹⁸, przyjść do przytomności...

To dziwne, że pierwszej nocy na *Sinus Aestuum* takiego mrozu nie było. Widocznie ciągną się pod tamtą płaszczyzną jakieś żyły wulkaniczne, które grunt nieco ogrzewają.

¹⁷ *mię* – dziś: mnie. [przypis edytorski]

¹⁸ *otrząść* – dziś raczej: otrząsnąć. [przypis edytorski]

Piszmy, piszmy, aby nie zasnąć, bo to śmierć.

Od zachodu słońca posuwaliśmy się ciągle ku północnemu zachodowi – w coraz to silniejszym świetle dopełniającej się Ziemi i w coraz to większym mrozie. Pod 9° zach. dł., 21° pn. szer. przedarliśmy się przez niskie, obłe wały zagradzające nam drogę. Nie zmienialiśmy kierunku, dążąc, zamiast wprost na północ, ku północnemu wschodowi w stronę wzgórz, rozciągających się szeroko naokoło pierścienia *Archimedes* w tej nadziei, że znajdziemy tu może jaki czynny krater, a w nim ciepło. Jesteśmy na granicy tego górzystego kraju, ale wszystko martwe i zimne. Wjechaliśmy w środek dziwnego półksiężyca, utworzonego ze skał, amfiteatralnie spiętrzonych. Varadol robił pomiary astronomiczne, by oznaczyć położenie tych gór. Z pomiarów jego wynika, że jest to wyniosłość, oznaczana na mapach księżycowych zazwyczaj literą *E*, a leżąca pod $7^{\circ}45'$ zach. dł., $24^{\circ}1'$ pn. szer. księżycowej.

Mróz, mróz, mróz... ale trzeba się przemóc i nie spać. Byle tylko nie spać, bo to śmierć! Ta śmierć musi tu być gdzieś blisko. Tam na Ziemi powinni ją malować siedzącą na Księżycu, bo to jest jej królestwo...

Dlaczego my stoimy? Ach prawda! wszystko jedno!

Tak, trzeba się przemóc. O czym to ja pisałem? Aha! te góry... Dziwny amfiteatr, ze cztery kilometry szeroki, otwarty od południa. Nad nim jak lampa zawieszona Ziemia. Najwyższy szczyt na północy, wprost przed nami. Ma pewnie jakie tysiąc dwieście metrów. Tak to wszystko strasznie wygląda. Teatr

dla olbrzymów, dla potwornych kościotrupich olbrzymów. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby te stoki zasnuły się nagle tłumem ogromnych kościotrupów, z wolna w świetle Ziemi idących i zajmujących miejsca widzów. Olbrzymie czaszki tych, którzy by zasiedli najwyżej, bielilyby się na tle czarnego nieba, wśród gwiazd. Zdaje mi się, że to wszystko widzę. Kościotrupy gigantów siedzą i tak mówią do siebie: „Która godzina? Jest już północ; Ziemia, nasz wielki i jasny zegar, stoi w pełni na niebie – pora zaczynać”. – A potem do nas: „Pora zaczynać, umierajcie zatem; patrzemy...”.

Dreszcz mię przechodzi.

Palus Putredinis, na dnie szczeliny, 7°36' zach. dł., 26° pn. szer. księż. Druga doba, 62 g. po pn.

Stało się zatem. Jesteśmy skazani na śmierć, zgoła bez nadziei ocalenia. Wiemy o tym od sześćdziesięciu godzin, to dość czasu, aby się z tą myślą oswoić. A jednak – ta śmierć...

Spokoju, spokoju, wszak to do niczego nie prowadzi. Trzeba się zgodzić z tym, co jest nieuchronne. Zresztą nie jest to przecież dla nas czymś niespodziewanym; wybierając się w tę podróż – jeszcze tam, na Ziemi – wiedzieliśmy, że się na śmierć narażamy. Ale czemuż ta śmierć nie spadła na nas nagle jak piorun, czemu pojawiła się przed nami i zbliżyła się tak powoli, że możemy każdy krok jej obliczyć, że wiemy, kiedy pocznie nas chwytać za gardła zimną dłonią i dusić...

Tak, dusić. Udusimy się wszyscy. Zapas zgęszczonego powietrza wystarczy nam przy największej oszczędności

zaledwie na trzysta godzin. A potem... No, cóż, trzeba się zawnazas przygotowac na to, co bedzie potem. Przez trzysta godzin jeszcze bedzie wszystko tak, jak dotad. Bedziemy oddychali, jedli, spali, poruszali sie... W ciagu tego czasu wyprzni sie ostatni zbiornik zagesczonego powietrza, jedyny, jaki nam pozostal. Za trzysta godzin – to bedzie księżycowe popołudnie... Słońce bedzie stalo jeszcze dosc wysoko. Bedzie jasno i cieplo – nawet goraco, moze za goraco. Przez jakis czas, kilka godzin, bedzie wszystko jeszcze w porzadku. Potem zacniemy powoli uczuwać jakas ociężalosc, szum w glowie, bicie serca... Atmosfera naszego wozu, nieodswiezana tlenem, ktorego nam juz brakuje, bedzie przepelniona wydychanym przez nas kwasem węglowym. Teraz usuwamy go sztucznie, ale wtenczas po coz go bedzie usuwać, kiedy nie bedziemy mieli tlenu, aby go nim zastapic? Zacniemy sie tedy zatruwać tym kwasem węglowym. Uderzenie krwi, ociężalosc, duszność, senność... Tak, senność, nieprzewyciezona senność. Polozymy sie na hamakach, oczekujac smierci: Marta wychyli sie zapewne ze swego hamaku i oprze glowe na piersi Tomasza, jak zwykle... Potem zacniemy snic... Ziemia, rodzinne kraje, laki, powietrze – duzo, duzo powietrza, cale ogromne, błękitne, czyste morze! A we śnie duszaca, straszna zmora tu na piersiach; zdaje mi sie, ze ja juz czuje! ugniata zebra, dlawi za gardlo, sciska serce. Przestrach ogarnia. Chcialoby sie ja otrzasc, powstac, uciekac... Wreszcie sny sie skonca. Na Księżycu, sród niezmiernej płaszczyny *Mare Imbrium* beda cztery trupy w zamknietym

wozie.

Nie! albo nie tak! W chwili kiedy nam braknie świeżego powietrza, otworzymy drzwi wozu – na oścież. Jedna sekunda i będziemy się znajdowali w próżni. Krew tryśnie ustami, uszami, oczyma, nosem; kilka kurczowych, rozpaczliwych ruchów klatką piersiową, kilka wściekłych uderzeń serca i – koniec.

Po co ja piszę to wszystko? – po co ja piszę w ogóle? Przecież to nie ma sensu ani celu. Za trzysta godzin umrę.

W godzinę później

Powracam do pisania. Muszę się czymś zająć, bo ta myśl o nieuchronnej śmierci jest okropna. Chodzimy po wozie i uśmiechamy się do siebie bezmyślnie albo rozmawiamy o rzeczach całkiem obojętnych. Przed chwilą Varadol opowiadał, jak w Portugalii przyrządzają pewien sos z wątróbek kurcząt z kaparami. Podczas tego myśleliśmy wszyscy, nie wyłączając i jego, o tym, że za dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć godzin umrzemy.

Właściwie śmierć nie jest wcale straszna – dlaczegoż się jej tak boimy? Przecież...

Ach! jakież jest marne to całe filozofowanie o śmierci! Głośniejszy niż wszyscy mędracy, zalecający spokój przed zgonem, mówi tykot mego zegarka w kieszeni. Słyszę ciche, drobne, metaliczne uderzenia i wiem, że są to kroki zbliżającej się śmierci. Będzie tutaj, nim zajdzie słońce tego długiego dnia, który wkrótce się zacznie. Nie spóźni się ani o godzinę.

Znajdowaliśmy się właśnie byli wśród owych podkowiastych

skął, zdrętwiali od mrozu, kiedy Varadol, spojrzawszy przypadkiem na wskazówkę manometru jednego ze zbiorników zgęszczonego powietrza, wydał przeraźliwy okrzyk. Podskoczyliśmy wszyscy, jakby zelektryzowani, patrząc w kierunku, który nam Piotr wskazywał drżącą ręką, niezdolny z przerażenia wymówić ni słowa.

W jednej chwili zrobiło mi się gorąco: manometr nie wykazywał wewnątrz żadnego ciśnienia. Wtedy przyszło mi na myśl, że może wobec potwornego mrozu powietrze w zbiorniku umieszczonym w ścianie uległo skropleniu. Otworzyłem kurek – zbiornik był pusty. Tak samo drugi, trzeci, czwarty i piąty. Jedynie w szóstym, ostatnim, znajdowało się powietrze.

Ogarnął nas nagle obłęd przerażenia. Nie zastanawiając się nad przyczyną zagadkowego dla nas dotychczasowego wypróżnienia zbiorników ani nad tym, co robimy, co robić należy i czy w ogóle robić co można, rzuciliśmy się wszyscy naraz do motoru, nie czując mrozu, znużenia, senności, nic – opętani tą jedną myślą: uciekać, uciekać, jak gdyby przed śmiercią można było uciec.

W kilka chwil wóz był już w ruchu. Wyjechawszy z zamkniętej wśród skał płaszczyzny, pędziliśmy całą siłą bez opamiętania na północ wśród drobnych wzgórz, rozpościerających się od pierścienia *Archimedes*, a zalegających całą zachodnią część, graniczącego tu z *Morzem Dżdżów* *Bagna Zgnilizny*. Teren był nadzwyczajnie przykry i nierówny. Wóz podskakiwał, trząsł się, wznosił lub zapadał, podrzucając nas

niemiłosiernie; myśmy na to nie zważali, sądząc w straszliwym paroksyzmie trwogi i rozpacz, że się nam uda dostać na drugą stronę Księżyca, nim się skończy nasz szczupły zapas powietrza!

Co za śmieszna myśl! Powietrza starczy nam zaledwie na trzysta godzin, a od bieguna księżycowego dzieli nas w prostej linii blisko dwa tysiące kilometrów drogi, z czego połowa przypada na kraj górzysty i niedostępny!

Mróz ścinał nam krew w żyłach i oddech zapierał w piersi, ale my, nie zważając na nic, pędziliśmy bez ustanku na przełaj przez góry, srebrzące się w świetle Ziemi, przez czarne kotliny, przez piargiem zasłane pola – byle dalej i dalej. Nawet o śnie, morzącym nas do niedawna, nikt już teraz nie myślał.

W tej piekielnej jeździe, równie bezcelowej jak szalonej, powstrzymała nas dopiero nagła przeszkoda. Pędząc wprost na oślep, natrafiliśmy na szczelinę, podobną do *Szczeliny Zbawienia* pod *Eratosthenesem*, ale znacznie szerszą i głębszą bez porównania. Spostrzegliśmy ją z tak bliska, że niewiele brakowało, a bylibyśmy runęli w nią wraz z wozem.

Wóz stanął – i nagle ogarnęła nas straszliwa apatia. Energia rozpacz, którą podnieceni gnaliśmy bez pamięci przez tyle godzin, znikła równie szybko, jak się była pojawiła, ustępując miejsca niewypowiedzianemu, obojętnemu przygnębieniu. Naraz stało się nam wszystko zupełnie obojętnym. Po co się męczyć i natężyć, kiedy to jest bezcelowe. Musimy umrzeć.

Usiedliśmy około pieca beczynn timer i w milczeniu. Mróz

dokuczał nam coraz straszliwiej, ale nie dbaliśmy już o to. Wszakże śmierć jest zawsze jednakowa, czy od mrozu, czy od uduszenia. Minęło sporo czasu. Bylibyśmy niewątpliwie umarзли, gdyby nie Woodbell, który pierwszy oprzytomniał i zaczął nas nakłaniać do poważnego zastanowienia się nad położeniem.

– Szukajmy wyjścia, sposobu ocalenia – mówił – choćbyśmy go nawet nie znaleźli, to zyskamy przynajmniej to, że zajmąwszy się czymś, odwrócimy na chwilę myśl od śmierci, której zmora nas gnębi.

Istotnie rada była dobra, ale byliśmy tak wyczerpani i zmrozeni, że przyjęliśmy ją całkiem obojętnie, nie odpowiadając nawet na przedstawienia Tomasza.

Pamiętam, że patrzyłem na Tomasza i widziałem, że mówił coś jeszcze, ale nie zrozumiałem z tego ani słowa. Jediną rzeczą, która mię w owej chwili zajmowała, było: jak on też będzie po śmierci wyglądał?

Z obłądnym uporem wpatrywałem się w jego poruszające się szczęki i obdzierałem je w myśli z ciała, potem obnażałem tak samo jego czaszkę, żebra, piszczele – i patrząc na człowieka, miałem kościotrupa przed oczyma, który się zdawał mówić do mnie ze złośliwym grymasem: „Tacy będziecie wszyscy – niezadługo!”.

Tomasz, widząc wreszcie, że z nami nie dojdzie do ładu, stanął sam przy motorze i za chwilę wóz posuwał się wzdłuż krawędzi szczeliny. Po upływie jakiej pół godziny dojechaliśmy do miejsca, w którym się szczelina kończyła. Varadol spostrzegł

to i podrzucony nagle weń wstępującą rozpaczliwą energią, skoczył do motoru, krzycząc jak szalony:

– Możemy szczelinę okrążyć i jechać dalej na północ, ku biegunowi, tam, gdzie jest powietrze!

Śmiał się i rzucał, jak gdyby naprawdę zmysły postradał, gdy jednak chciał uchwycić za ster, Tomasz usunął go z lekka i rzekł krótko a stanowczo:

– Nie okrążymy szczeliny, ale wjedziemy w nią.

Piotr patrzył na niego chwilę osłupiałym wzrokiem, a potem nagle, dostawszy widocznie jakiegoś ataku nerwowego, rzucił się i chwycił go za gardło.

– Morderco! – ryczał – dusicielu! ty nas chcesz zabić, zatracić, a ja chcę żyć! żyć! słyszysz?! Na północ, na północ, ku biegunowi, tam jest powietrze!

Pienił się i krzyczał, a że był silniejszy od Tomasza, więc nimeśmy mogli zdążyć z pomocą, przewrócił go i przytłoczył kolanami. Skoczyłem wraz z Martą, aby szaleńca obezwładnić, i zaczęło się szamotanie, któremu towarzyszyło zajadłe szczekanie przestraszonych psów. Chwyciliśmy go wreszcie za ramiona, gdy nagle wyprężył się w naszych rękach, krzyknął i obwisł bezwładnie. Tomasz podnosił się z ziemi zmęczony i zbladły.

Wtem wóz się nachylił; uczułem gwałtowne wstrząśnienie i straciłem przytomność.

Gdy przyszedłem na powrót do zmysłów, spostrzegłem, że leżę w hamaku, a Tomasz stoi nade mną i naciera mi skronie eterem. Marta i Varadol siedzieli obok zasepieni i milczący.

Tomasz jest istotnie dzielnym człowiekiem. Podczas jego szamotania się z Piotrem wóz, pozbawiony steru, uderzył przodem o skałę. Rzucony tym wstrząśnieniem naprzód, uderzyłem głową o ścianę wozu i zemdlałem.

Tomasz i Marta wyszli z przygody bez szwanku, również Varadol, który bez przytomności leżał na podłodze, obezwładniony poprzednim atakiem. Wtedy Tomasz, spostrzegłszy, co się stało, polecił Marcie ułożyć nas na hamakach, a sam cofnął wóz, nawrócił i wjechał w głąb szczeliny. Tutaj dopiero, na samym dnie, gdzie, jak słusznie przypuszczałem, jest bez porównania cieplej niż na powierzchni, zajął się trzeźwieniem nas. Piotr pierwszy się ocucił. Nie pamiętał zgoła szau, który nas tak przeraził. Wreszcie i ja odzyskałem zmysły.

Na razie nie groziła nam już śmierć z umarznienia, gdyż w tej niezmiernie głębokiej szczelinie mróz nie jest tak wielki. Widocznie wewnątrz Księżyca, podobnie jak wewnątrz Ziemi, nie jest jeszcze całkiem pozbawione własnego ciepła, choć on, jako mniejszy 49 razy od Ziemi, znacznie też wcześniej musiał zastygnąć.

Tomasz przewidywał to i dlatego wjechał z wozem w szczelinę, pragnąc, abyśmy się mogli spokojnie naradzić, co począć, zabezpieczywszy się od bezpośredniego niebezpieczeństwa, które nam groziło ze strony paraliżującego naszą myśl mrozu.

Zaczęliśmy się naradzać. Przyszło nam na myśl, że może

uda się za pomocą powietrznej pompy tłoczącej zgęścić na tyle otaczającą nas niesłychanie rzadką atmosferę księżycową, aby nią odświeżyć powietrze w wozie. Pomysł ten błysnął nam jak gwiazda nadziei i ocalenia, toteż niezwłocznie wzięliśmy się wspólnymi siłami do jej wykonania. Jednakowoż po godzinie usilnej, wyteżającej pracy przekonaliśmy się, że jest to rzecz niedająca się urzeczywistnić. Atmosfera Księżyca jest tutaj tak rzadka, że po całkowitym zasunięciu tłoka w pompie nie zgęszcza się jeszcze do tego stopnia, aby mogła przewyciężyć ciśnienie powietrza w naszym wozie i klapę sobie otworzyć. Próbowaliśmy ją następnie zgęścić za pomocą pompy w jednym z opróżnionych zbiorników, zatkawszy poprzednio szczelnie szparę, którą nam powietrze uciekło, ale i to okazało się niemożliwym.

Zniechęceni i wyczerpani, porzuciliśmy wreszcie bezcelową robotę. Tomasz pociesza nas jeszcze, że może dalej ku północy znajdziemy nieco gęstsza atmosferę, przy której nasza pompa da się zużytkować, ale wiem, że on sam w to nie wierzy. Na całej ogromnej przestrzeni *Mare Imbrium* atmosfera będzie równie rzadka, to znaczy, prawie jej nie będzie – a nim przestrzeń tę przebędziemy, wyczerpią się nasze zapasy powietrza i wtedy przyjdzie to, co jest nieuchronne. Za dwieście dziewięćdziesiąt godzin pomrzemy.

Mimo to jak tylko zadnieje i ciepłej się zrobi, wyjedziemy z tej szczeliny i podążymy dalej na północ. Nie wiecie to wprawdzie do niczego, ale ostatecznie i stanie w miejscu do niczego nie

wiedzie. A może... może... istotnie znajdziemy gdzie nieco gęstsza atmosferę...

Na tymże miejscu, 70 godzin po pn.

Odkryliśmy nareszcie przyczynę, która spowodowała stratę naszych zapasów powietrza. Zbiorniki zostały uszkodzone podczas zsuwania wozu ze stoków *Eratosthenesa*. Jakiś ostry głaz, znajdujący się na drodze, po której wóz się ślizgał, zarysował je głęboko, a wewnętrzne ciśnienie gazu dokonało reszty. Szczeliny są widoczne. Dwie rzeczy mnie tylko zadziwiają w tym wszystkim: naprzód, że parcie zgęszczonego powietrza nie rozsadziło uszkodzonych miedzianych zbiorników, następnie, że nie spostrzeżliśmy wcześniej straty. Łamię sobie nad tymi zagadkami głowę, jak gdyby ich rozwiązanie mogło w czymkolwiek zmienić nasze położenie.

Nie umiem o niczym innym myśleć, tylko ciągle i ciągle stoi mi przed oczyma to widmo śmierci. A to najstraszniejsze, że wiedząc, iż umrzemy, czujemy się najzupełniej zdrowymi. To zwiększa grozę tego czegoś okropnego, co ma na nas spaść. Tomasz jest najspokojniejszy z nas wszystkich, ale widzę, zwłaszcza z jego zachowania się wobec Marty, że i on bez ustanku myśli o tym, co ma nastąpić. Przesuwa jakimś delikatnym, wprost kobiecym ruchem dłoń po jej włosach i patrzy na nią tak, jakby chciał prosić przebaczenia. A ona całuje jego rękę, mówiąc mu tą pieśczętą i oczyma: „Nie martw się, Tom, wszystko jest dobrze, wszak umrzemy razem...”.

Dla nich jest to może istotnie pewną pociechą, że umrą

razem, ale dla mnie, przyznam się, ta wspólność losu w niczym nie zmniejsza jego okropności. Znajduję się w stanie takiego wzburzenia wszystkich władz umysłowych, że refleksje nie wywierają na mnie zgoła wpływu. Trzeźwo myślę o wszystkim, ze wszystkiego jasno zdaję sobie sprawę, powtarzam sobie w duszy setki razy, że umieram wraz z tymi ludźmi jako dobrowolna ofiara tej wszechpotężnej żądzy poznania, która nas oderwała od Ziemi i rzuciła na ten glob niegościnnie – wmawiam w siebie, że powinienem się zgodzić z losem i zachować spokój wobec tej nieuchronnej konieczności, a mimo to wszystkie piękne refleksje czuję wciąż jedno: strach, bezbrzeżny, rozpaczliwy strach! Takie to jest nieubłagane i tak powoli się zbliża...

Nie pojmuję rzeczywiście, dlaczego nie pomyślimy o szybkim rozwiązaniu tego okropnego położenia? Wszak w naszej mocy leży skrócić to życie, które teraz jest już tylko śmieszną parodią życia, a nadto zmorą i ciężarem...

W godzinę później.

Nie! Nie mogę tego zrobić! Nie wiem, co mię powstrzymuje, ale nie mogę. Może to dziecinna tęsknota za słońcem, dobrą gwiazdą dnia, które ma wejść ponad nami niezadługo, może jakieś śmieszne, niemal zwierzęce przywiązanie do życia, choćby nie wiem jak krótkie być już miało, może resztki głupiej, nieuzasadnionej zgoła nadziei...

Wiem, że nic nas nie ocali, a tak strasznie pragnę żyć i tak się... boję...

Wszystko jedno! – niech się dzieje, co chce.

Jestem straszliwie znużony. Niechby już wreszcie przyszło to – nieuchronne! Przy każdym oddechu myślę, że mam już o jeden oddech mniej. Wszystko jedno!...

O wschodzie słońca.

Wyruszamy w drogę za godzinę. Krawędź zachodnia szczeliny błyszczy się już nad nami w słonecznym blasku. Wyjedziemy na rozległą pustynię zobaczyć jeszcze raz słońce, zobaczyć gwiazdy i Ziemię, spokojną, rozświetloną i tak cichą na tym czarnym niebie...

I pojedziemy ku północy. Po co? – nie wiem. Nikt z nas nie wie. Ale pojedziemy. Śmierć pójdzie cicho koło nas przez kamieniste pola, przez góry i doliny, a gdy wskazówka manometru przy ostatnim zbiorniku powietrza dojdzie do punktu zerowego, śmierć wejdzie do wozu.

Nie mówimy do siebie; nie mamy o czym mówić. Staramy się tylko zajmować czymkolwiek, więcej może z fałszywego wstydu przed drugimi niż dla własnej rozrywki. Bo jakaż robota może zająć człowieka, który wie, że wszystko, co robi, jest bezcelowe?

A zatem pójdźmy naprzeciw swego losu!

Druga doba księżycowa, 14 godzin po południu. Na Mare Imbrium, 8°54' zach. dł., 32°16' pn. szer. księż., między kraterami c–d.

Jesteśmy ocaleni! – a ocalenie przyszło tak nagle, tak niespodziewanie i w tak dziwny, a... straszny sposób, że do tej chwili nie mogę ochłonąć, choć to już dwanaście godzin mija

od czasu, jak śmierć, towarzysząca nam przez dwa ziemskie tygodnie, odwróciła się od nas i odeszła.

Odeszła, ale nie bez łupu... Śmierć nigdy bez łupu nie odchodzi. Jeśli z litości albo z musu pozwoli żyć tym, których już miała w swoich szponach, to bierze sobie za nich okup dowolny, gdzie go znajdzie, bez wyboru...

O wschodzie słońca puściliśmy się w drogę, mocą przyzwyczajenia raczej niż z jakiej wyrozumowanej potrzeby. Byliśmy pewni, że nie dożyjemy wieczora tego długiego dnia. Jechaliśmy w milczeniu, z tą zmorą śmierci, siedzącej pośród nas i czekającej spokojnie chwili, kiedy nas będzie mogła wziąć w swe zimne, duszące objęcia. Czuliśmy jej obecność tak żywo, jak gdyby była jakąś uchwytną, dostrzegalną istotą, i oglądaliśmy się ze zdziwieniem, że jej nie widzimy.

W tej chwili jest to wszystko już tylko wspomnieniem, ale wówczas było rzeczywistością straszliwą nad wszelki wyraz. Nie mogę nawet zrozumieć, jak zdołaliśmy przeżyć w takiej ohydnej, niezaradnej trwodze, z tym nieubłagalnym widmem na oczach trzysta kilkadziesiąt godzin! Nie przesadzę, gdy powiem, żeśmy każdej godziny umierali myśląc, że nieuchronnie musimy umrzeć. Bo ocalenia – zwłaszcza takiego – nikt się z nas nie spodziewał.

Teraz wydaje mi się to snem okropnym i muszę wszystkie zmysły przywołać ku pomocy, aby uwierzyć, że to rzeczywiście na jawie się działo.

Nie pamiętam już dokładnie drogi, którąśmy przebywali.

Godzina wlokła się za godziną, wóz posuwał się wciąż szybko ku północy, a my patrzyliśmy jakby we śnie na mijane krajobrazy. Teraz czuję, że wszystkie wrażenia zlały się u mnie w jedno z tym wrażeniem nieubłaganej śmierci. Nie mogę teraz owego chaosu odmotać. Wszystko, co pamiętam z tej drogi, było straszne. Początkowo posuwaliśmy się granicą między *Palus Putredinis* a *Mare Imbrium*, mając po prawej stronie okolicę górzystą i dziką. Na lewo, ku zachodowi, rozciągała się równina przechodząca w dali w niewysokie, faliste wzgórza ciągnące się równoległe do kierunku naszej jazdy. Poza tymi wzgórzami jaśniały odległe szczyty *Timocharis* oświetlone prosto na nie padającymi promieniami słońca.

Pozostała mi w pamięci groza i dziwnie łączące się z nią niesłychane bogactwo barw tego krajobrazu. Najwyższe iglice krateru były białe, ale od nich spadały ku dołowi smugi i koła grające wszystkimi kolorami tęczy. Nie wiem, czemu to przypisać; czyżby *Timocharis*, pierścień górski wielkości *Eratosthenesa*, był istotnie niegdyś czynnym, a teraz wygasłym olbrzymim kraterem? Byłyżby te barwy smugami osiadających na kraterach feldszpatów, trachitów, siarki, law i popiołu? Nie umiem tej zagadki rozwiązać, a wtedy nie zastanawiałem się nawet nad nią. Miałem tylko wrażenie czegoś nieprawdopodobnego, czegoś, co mi przywodziło na myśl baśnie o krajach czarodziejskich i górach zbudowanych z drogich kamieni. Wpatrzony w te roziskrzane od słońca szczyty, podobne do stosu topazów, rubinów, ametystu i

diamentów, odczuwałem równocześnie mrozem przejmującą ich martwość. Było coś nielitościwie srogiego i nieubłaganego w tym ostrym lśnieniu barwnych głazów, lśnieniu nieprzyćmionym i niezłagodzonego niczym, nawet powietrzem... Jakiś... przepych śmierci bił od tych gór.

W kilkanaście godzin po wschodzie słońca, mając wciąż szczyty *Timocharisa* na widoku, wjechaliśmy w cień niewysokiego krateru *Beer*. Minawszy go, przesunęliśmy się wzdłuż podnóża jeszcze niższego odeń, a tuż obok położonego krateru *Feuillée* i wjechaliśmy na niezmierną, okiem nieprzejrzaną równinę, ciągnącą się sześćset kilometrów przed nami, aż do północnego krańca *Mare Imbrium*. Zwróceniu ku północy mieliśmy szczyty *Timocharisa* już nieco poza sobą; ku północnemu wschodowi za to ukazał się nam na skraju widnokregu odległy, w cieniu pograżony wał pierścienia *Archimedes*.

Doznałem nagle wrażenia, że mijamy olbrzymią bramę, szeroko rozwartą ku równinie śmierci. Bezbrzeżny, dławiący strach opętał mnie znowu. Odruchowo chciałem zatrzymać wóz, skręcić gdzie wśród ginące za nami skały, byle tylko nie wjeżdżać na tę rozległą płaszczyznę, której – wiedziałem – nie przebedziemy żywi.

Zdaje się, że nie tylko we mnie powstało to uczucie; tamci troje patrzyli również zasepionym wzrokiem na otwartą przed nami kamienistą pustynię.

Woodbell, ponury, z głową opuszczoną na piersi i

zaciśniętymi ustami zdawał się długo mierzyć oczyma przestrzeń równiny, której krańców nie było widno¹⁹, a potem z wolna przeniósł wzrok na wskazówkę manometru, przytwierdzonego do ostatniego zbiornika ze zgęszczonym powietrzem. Mimo woli spojrział za jego przykładem. Wskazówka w niewielkim mosiężnym bębnie opadała ciągle, powoli, ale bez ustanku.

Wtedy nagle błysnęła mi straszna, potworna myśl; powietrza nie wystarczy dla *czworga*, ale dla *jednego* może by wystarczyło. Jeden z tym zapasem mógłby dotrzeć aż do takich okolic, gdzie atmosfera Księżyca będzie dość gęsta, aby się nadała choćby przy użyciu pompy do oddychania.

Przeląknęłam się tej ohydnej myśli i zaledwie się pojawiła, chciałam ją odegnąć, ale ona była silniejsza od mojej woli i powracała ciągle. Nie mogłam oczu oderwać od wskazówki manometru, a w uszach dźwięczało mi ciągle: dla *czworga* nie wystarczy, ale dla *jednego*...

Spojrziałem wreszcie na towarzyszy ukradkiem, jak złodziej, i – rzecz okropna – w oczach ich rozplamionych, niespokojnych wyczytałam myśl tę samą. Zrozumieliśmy się wzajemnie. Przez chwilę panowało wśród nas przygnębiające, podłe milczenie.

Wreszcie Tomasz potarł ręką czoło i odezwał się:

– Jeśli mamy to zrobić, to trzeba robić prędko, nim się zapas uszczupli...

Wiedzieliśmy, o czym mówił; Varadol skinął głową w

¹⁹ *nie było widno* – dziś: nie było widać. [przypis edytorski]

milczeniu; ja uczułem żrący rumieniec na twarzy, ale nie zaprzeczyłem.

– Czy będziemy ciągnęli losy? – zapytał znów Tomasz, zmuszając się widocznie do wykrztuszenia tych słów. – Ale... – tu głos mu zadrgał i załamał się, przybierając jakiś miękki, błagalny ton – ale... chciałbym... was prosić, aby... Marta została przy życiu... także...

Zapanowało znowu głucho, przygnębiające milczenie. Wreszcie Piotr wybąknął:

– Dla dwojga nie wystarczy...

Tomasz odrzucił głowę jakimś dumnym ruchem:

– A zatem dobrze, niech się stanie! Tak lepiej.

To mówiąc, wziął cztery zapałki, jednej z nich odłamał główkę, a ukrywszy je w dłoni, tak że tylko końce było widać, wyciągnął ku nam rękę.

Podczas całej tej rozmowy Marta stała na uboczu i nic nie słyszała. Przystąpiła do nas właśnie w chwili, gdyśmy wyciągali palce po owe losy, i zapytała zniecka głosem zupełnie spokojnym:

– Co robicie?

A potem do Tomasza:

– Pokaż, co masz w ręce...

I wyjęła mu z dłoni te zapałki, które miały być wyrokiem śmierci dla trojga z nas, aby czwarte mogło żyć.

Stało się to wszystko tak szybko i niespodziewanie, że nie mieliśmy jej czasu przeszkodzić. Rumieniec wstydu oblał nas

aż po białka oczu; zrozumieliśmy, że ta dziewczyna zaszła nas na spełnianiu wstrętnej zbrodni egoizmu, podłości i tchórzostwa. Spojrzeliśmy po sobie i nagle rzuciliśmy się sobie w objęcia, wybuchając spazmatycznym, długo tłumionym płaczem.

O ciągnięciu losów nie było już mowy. Przez reakcję, która jest zasadniczym prawem duszy ludzkiej, wzajemna zawiść, wywołana bliskością i nieuchronnością śmierci wiszącej nad nami, zamieniła się teraz w uczucie jakiegoś ciepła i serdecznego wylania. Zeszło na nas dziwne, bezbrzeżne ukojenie. Usiedliśmy blisko obok siebie – Marta przytuliła się zwinnym, gibkim ciałem do piersi Tomasza – i zaczęliśmy rozmawiać serdecznie, przyciszonym głosem o mnóstwie drobiazgów, które nas niegdyś na Ziemi obchodziły. Każde wspomnienie, każdy szczegół nabierały dla nas teraz wielkiego znaczenia – czuliśmy, że ta rozmowa to pożegnanie życia.

A wóz tymczasem pędził bez ustanku na północ przez niezmierną, śmiertelną równinę.

Mijały godziny i doby ziemskie; wskazówka manometru opadała ciągle, ale my byliśmy już spokojni, zgodziwszy się z losem. Rozmawialiśmy, jedli, nawet spali, jak gdyby nic nie było zaszło. Czułem tylko dziwny, przykry ucisk w okolicy serca i gardła, jak człowiek, który poniósłszy wielką stratę, stara się o niej zapomnieć, a nie może.

Okolo południa znajdowaliśmy się już między 31 a 32 równoleżnikami. Upał, chociaż bardzo znaczny, nie dokuczał nam już w tym stopniu, jak dnia poprzedniego, gdyż pod tą

szerokością księżycową słońce wznosi się tylko na sześćdziesiąt stopni niespełna ponad horyzont. Ziemia, zawieszona od południa na niebie w tej samej wysokości, była w nowiu, kiedy bezpromienna tarcza słońca, dotknąwszy płomiennej obrączki jej atmosfery, poczęła z wolna poza nią zachodzić.

Mieliśmy mieć zaćmienie słońca, trwające tu około dwóch godzin, a przedstawiające się mieszkańcom Ziemi jako zaćmienie Księżyca.

Świetlna obrączka atmosfery ziemskiej stała się, z chwilą gdy ją słońce dotknęło, podobną do wieńca z krwawej błyskawicy, otaczającej ogromną czarną plamę, jedyną na niebie, na której nie świeciły gwiazdy. Blisko godziny potrzebowała tarcza słoneczna, aby zejść poza ten czarny wśród płomienia krąg. Przez ten czas wieńiec zażęgał się coraz krwawiej i szerzej. Z chwilą gdy słońce znikło, światło było już tak silne, że widno²⁰ przy nim było zarysy krajobrazu majaczące w pomarańczowym obrzasku. Czarna plama Ziemi wyglądała teraz jak zionący otwór jakiejś potwornej studni wydrążonej w gwiaździstym niebie; naokoło niej wiła się wąska, krwawopłomienna obwódka, przechodząca dalej stopniowo w światło czerwone, pomarańczowe i żółte, szeroko w krąg rozpostarte, a ginące wreszcie na czarnym tle słabą, białawą poświatą. A zza tego płomienno-wieńca wystrzelały na wschód i zachód dwa snopy promieni, dwie fontanny złocistego pyłu świetlnego: było to światło zodiakalne, widoczne podczas zaćmienia, podobnie jak po zachodzie słońca.

²⁰ *widno (...)* było – dziś w : widać było. [przypis edytorski]

Oświetlenie na Księżycu stało się tymczasem z pomarańczowego czerwonym; wyglądało to tak, jakby kto wylał krew na mroczną przed nami pustynię.

Musieliśmy się zatrzymać, gdyż w tym krwawym i słabym świetle niepodobna było rozpoznać drogi. Razem z cieniem spadł na nas po zniknięciu słońca i chłód dotkliwy. Otuliwszy się tedy, zbiliśmy się razem w kupkę, czekając, rychło słońce się znów ukáže. Nad nami palił się wciąż w niesłychanym przepychu świetlny, rogaty wieniec różnobarwnych płomieni – gdy wtem psy zaczęły wyć, naprzód z cicha, później coraz głośniejsze i rozpaczliwiej. Wycie to przejęło nas lodowatym dreszczem: przypomniała nam się noc przed zgonem O'Tamora, kiedy Selena tak samo wyła, witając śmierć wchodzącą do naszego wozu. I nagle wobec tych wspaniałości na stropie niebieskim uczuliśmy tak żywo całą bezbrzeżną, straszną nędzę naszego położenia; zdało się nam, że te ognie i blaski rozpały się jakby na szyderstwo ponad głowami umierających, na których słońce już nie chciało patrzeć...

W zbiorniku mieliśmy powietrza już tylko na jakie dwadzieścia godzin.

Po upływie dwóch godzin rąbek słońca zaczął się wyłaniać na zachodniej stronie czarnej tarczy ziemskiej, a świetlna aureola zwięzła się już i gasła powoli. Na widok słońca doznałem naprzód uczucia niespodziewanego zdziwienia – przywykłem już tak do tej krwawej nocy, tak mi już się zdawało, że jest zwiastunką nocy głębszej, wieczystej, która nas ogarnie pod

nieobecność słońca, iż świtający dzień był dla mnie czymś niepojętym. A potem naraz – nie wiem skąd – wstąpiła we mnie otucha, jakby z pojawieniem się słońca cud jaki miał nas uratować.

– Będziemy żyć! – zawołałem tak nagle i z takim przekonaniem, że oczy wszystkich zwróciły się na mnie z wyrazem pytania i nadziei.

Wtem stała się rzecz zadziwiająca. Z paki, w której był zamknięty bezużyteczny teraz aparat telegraficzny, doleciało nas kołatanie. Z początku nie wierzyliśmy własnym uszom, ale kołatanie słychać było coraz wyraźniej. Rzuciliśmy się ku pace: po jej otwarciu okazało się, że aparat stuka istotnie, jak gdyby odbierał przesyłaną skądś depezę. Nadaremnie jednak staraliśmy się treść depezy wyrozumieć. Coś się było popsło czy pomieszało, zaledwie mogliśmy złowić kilka oderwanych słów:

„Księżyc... za godzinę... od środka tarczy... pod kątem... niech... Francja... tamci... a jeżeli... śmierć...”

Ogarnęło nas bezbrzeżne zdumienie. Varadol poskoczył do aparatu i zatelegrafował:

– Kto się odzywa?

Czekaliśmy chwilę – żadnej odpowiedzi. Piotr powtórzył pytanie po raz drugi i trzeci, ale bez skutku. Aparat zamilkł i stukanie już się nie ponowiło.

Minęło pół godziny najzupełniejszej ciszy i zaczęliśmy już przypuszczać, że cała ta sprawa była jakimś niepojętym

złudzeniem.

Słońce wyszło było właśnie spoza Ziemi i stało na niebie obok niej. Upał wzmagął się znowu.

Wtem mignęło coś i błysnęło przed nami w promieniach słońca, a równocześnie grunt pod nogami zatrzęsł się jak mur uderzony kulą armatnią. Krzyknęliśmy z przestachu i podziwu. Rzuciwszy się ku oknu, spostrzegliśmy masę jakąś o metalicznym połysku, która odbiwszy się od powierzchni Księżyca, zatoczyła w naszych oczach ogromny łuk w przestrzeni i uderzyła znów dalej, i znowu się odbiła po raz drugi, trzeci, czwarty, sadząc w potwornych kozłach ku północnemu zachodowi.

Milczeliśmy zdumieni, nie mogąc zdać sobie sprawy z tego zjawiska, aż nagle Piotr zakrzyknął:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.